ROK I. Nr 28. 4 sierpnia 1929 r.

7 DNI

CENA 50 GR

Rejentalnie stwierdzony nakład: 30.000 egzemplarzy.

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



Wywczasy letnie obfitują w tysiączne uciechy nieznane mieszczuchom. Jakie roskosznem jest zbieranie świeżego, wonnego sianka. (The New-Jork Times)

Stany Zjednoczone Europy

Artykuł niniejszy nabiera specjalnej aktualności wobec ostatnich zmian politycznych we Francji i objęciu steru rządów przez p. Arystydesa Briand'a.

Red.

„Stany Zjednoczone Europy"... Człowiek, który rzucił ten projekt nie jest bynajmniej zapalonym utopistą z legjonu tych, co byle idei gotowi hołdować, choćby na niczem innem nie opartej, jak tylko na zbożnych życzeniach, wynikłych z teoretycznych rozmyślań. Autorem tego projektu jest wszakże nikt inny, jak Briand, człowiek czynu, szermierz nad szermierze, co nie darmo przeszedł przez ogień bojówek i pacyfizmu, lokarnizmu, narażając się na przeróżne konflikty (nawet z własnem radykalnem sumieniem), byleby osiągnąć — na złość nacjonalistom — największe korzyści dla własnej ojczyzny. Stany Zjednoczone Europy, to nowy pomysł jego odważnej polityki, odruch samozachowawczy, głęboki sztych zadany nieubłaganemu systemowi t. zw. „Rationalisierung", pod którego hasło zdążają narody w szalonym wyścigu pracy. Wyścig Brianda stwarza pewne warunki „handicapowe" dla Francji, zabezpieczające ją od ciosu egzekwowania długu wojennego na korzyść Stanów z poza oceanu. Czterysta miljonów dolarów? Jest o co się kłopotać, zwłaszcza kiedy „lojalna" (?) dwulicowość Stanów stwarza coraz to cięższe warunki dla Francji, (układ Mellon Beranger), obdarzając przeróżnemi beneficjami „przegranych" Wielkiej Wojny — Niemców. Jak będzie się przedstawiać realizacja planu Brianda— przewidzieć nie łatwo — wiadomo jest wszelako, że mąż ten nie da wyprowadzić się w pole. Raczej on, niż jego.

Jedno atoli nie ulega wątpliwości — że Francuzi nie tają głębokiej niechęci do Amerykanów i na wszystko są gotowi — nawet na rzucenie się w objęcia Niemców. Woleliby jednak liczniejszą kompanję...

Zacznijmy przedewszystkiem od Amerykanów. Naród ten — o ile na to miano zasługuje — jest sztucznym konglomeratem, złożonym z ludzi, co opuściwszy domowe pielesze poszli na podbój świata, nowego, zmodernizowanego według zasad naukowej organizacji, dla zdobycia największych korzyści materjalnych. Kimże bowiem się staje ów emigrant — Polak, Italczyk, Niemiec, Chińczyk czy Rosjanin — jak nie wyznawcą Molocha, zestandaryzowanym w walce, o materjalne pożądania, które w myśl zasad Taylora, usprawiedliwia, jako zdobywanie powszechnego dobrobytu przez masową produkcję dla mas. I choćby każdy z tych Polaków, Italczyków, Niemców, Chińczyków, Rosjan nie mógł się wyzbyć poczucia przywiązania do Macierzy, skąd wywodzi swój ród —



Francuska karykatura obecnego premjera francuskiego, p. Brianda

wszyscy się łączą we wspólnej, zgodnej pracy, stają się automatami, poruszającymi się w ramach niesłychanej organizacji, tworzącej rzeczy, lecz zabijającą ducha.

Wyścig ten nagromadził ogromne bogactwa. Kapitał amerykański, nie znajdując już nawet zastosowania w granicach własnego kraju, powędrował do Starego Świata, zasilając wszelkie przedsięwzięcia, byleby oparte na zysku — koleje, banki, samorządy, a nawet rewolucje, jak w Wiedniu, współrzędnie z popieraniem reakcji w pobliskim Budapeszcie. Kapitał ten jest nawet twórcą nielada paradoksów, gdyż niejedna pożyczka, wypuszczona na rynki europejskie, zostaje rozchwytywana przez ludzi miejscowych, którzy własnej ojczyźnie wzdragali się udzielić bezpośredniej pomocy i ukrywali grosiwo na dnie tradycyjnej pończochy.

Dolar zawojował świat. Dolara, którego asekuracji, mimo wszelakich projektów Kellogów et consortes broni siła zbrojna — i to nie bylejaka — opanował umysły. Idea o wyścigu pracy w kierunku odbudowy zrujnowanych przez wojnę gospodarstw przeradza się powoli, pod wpływem Amerykanów, w kult samego dolara, dla jego potęgi. Umysły, pogrążone w dociekaniach nad naukową organizacją szukają się wzajemnie, duch jednak schodzi na drugi plan. Istota konkurencji pomiędzy Nowym a Starym Światem opiera się wyłącznie na założeniach materjalnych. Walka zatacza coraz szersze kręgi. Serca się wzdrygają na myśl, iż tyle krwawych ofiar pochłonęła na marne, bo nawet braterstwo broni ustąpić musiało miejsca nieufności...

Biedny stary świecie! Jedyną twą korzyścią, iż nowe metody pracy przenikają wraz z dolarem na odbudowę zniszczonego dobra, a ludy twe powstały do zażartej walki przeciw współczesnemu najeźdzcy. Przykładem chociażby popularne dziedziny kinematografji lub automobilizmu, które starają się jednoczyć w związki dla obrony przed obcymi przybyszami z za Oceanu, którzy opanowali wszystkie rynki.

Nieubłagany dolar zdobywa sobie coraz więcej wyznawców... i przeciwników. Fascynuje... Porywa!...

Moment ten podchwycił rzutki Briand. Stany Zjednoczone bacznie obserwują, co stanie się z Nowym Światem — a Briand uśmiecha się na myśl, iż dokonał pod osłoną nowych haseł nielada wyczynu.

Zaszachowując jednocześnie Amerykanów, którym nie może płacić — skoro Francji nie płacą — i Niemców, którym musiałby pofolgować, ale wówczas gdyby nowy system zapanował w Europie.

Utopia?... Nie. Raczej bluff, manewr dyplomatyczny, obmyślany, dajmy na to, z „lokarneńską" uczciwością. Briand dał zaledwie zapowiedź nowej gry — wkrótce posypią się karty, a wówczas może szeroki ogół zainteresowanych pocznie się orjentować w tych znakomitych Stanach Europy.

Tylko z tamtej strony Oceanu dobroduszne Kellogi nieufnie pokiwały głowami i niejeden rzucił tęskne spojrzenie na szeregi bystrych krążowników zgromadzonych w portach wojennych ...na wszelki wypadek.

Et.



Prezydent Ministrów Francji Poincare zrzekł się swego stanowiska, na skutek konieczności poddania się operacji.



Amerykański kompozytor i dyrygent Jean Philipp Sonsa przeszedł do filmu dźwiękowego z honorarjum 100.000 m. za występ.



21-letni berlińczyk Itenz Gunther skonstruował model aeroplanu, którym można będzie przelecieć do Ameryki w 6 godzin



Słynny król jazzbandu Paul Whitemann ubezpieczył się na 1 miljon dolarów od nieszczęśliwych wypadków.



August Vollmer objął obecnie na uniwersytecie w Chicago katedrę profesorską walki z przestępczością i zbrodnią



Ludomir Kozłowski, student uniw. wileńskiego, laureat 1 nagrody 1 loterji P. W. K. wygrał 75 tysięcy złotych



Na międzynarodowy kongres kobiecy w Niemczech przybyła p. Jusuf, znana działaczka indyjska, wraz z delegatką kobiet indyjskich. (The New Jork Times).



W ubiegłą niedzielę odbyła się uroczystość poświęcenia łodzi na przystani Zjednoczenia Urzędników Banków Polskiego i Rolnego. (Fot. Wallter)



Były Kronprinc niemiecki bawi obecnie w holenderskiej nadmorskiej miejscowości kąpielowej Zaandvort w celu ratowania swego szanownego zdrowia



Słynny „samotnik" Alain Gerbault, o którym pisaliśmy w poprzednim numerze „7 Dni" po paroletniej podróży dookoła świata, zbliża się wreszcie do brzegów Francji. (Wide World).



Polski kolarz Szamota, zwyciężył w ostatnich zawodach torowych na Dynasach w Warszawie, swych współzawodników zagrnicznych. (Światowid)



Fotografja nasza przedstawia podburzające przemówienie wygłoszone przez kierownika kolei wschodnio-chińskiej na stacji w Moskwie przeciwko Chinom. (Atlantic)



Pan Prezydent Rzeczypospolitej na uroczystości poświęcenia kamienia węgielnego sanatorjum gruźliczego w Rabsztynie. (Światowid)



Wojskowa organizacja niemiecka „Reichsbaner" urządziła w Lustgartenie berlińskim koncert propagandowy na rzecz idei odwetowej. (Wide World)

Carska zabawa „w świętych"

Rosjanie od wieków słynęli jako naród „bogoiskatielej" — „poszukiwaczy Boga". Takimi „bogoiskatielami" byli przedewszystkiem ich pisarze, z Dostojewskim i Tołstojem na czele.

Lew Tołstoj, który całe swe życie zachowywał tajemnicę „bogoiskania", poszedł w świat, porzucając wygody pałacowe, przywiązanie wielbicieli i miłość rodziny, aby gdziekolwiek (gdzie — nie wiedział sam) znaleźć ukojenie duszy i otwartą drogę do Boga.

Tragedja dni ostatnich Tołstoja wskazuje całkiem wyraźnie na to, że pragnieniu jego nie stało się zadość.

Na parę dni przed śmiercią wielki starzec mówił: męczy mnie to, że uczyłem lud tego, czego sam nie znałem i czego sam nie poznałem do dziś dnia.

Zewnętrzna strona religji w Rosji miała tu dominujące znaczenie; wpływały na to tradycje bizantyjskie oraz ta okoliczność, iż cesarz rosyjski, który aczkolwiek nie był osobą duchowną, — odgrywał rolę wielkiego protektora cerkwi prawosławnej. To też nic dziwnego, że za pośrednictwem duchowieństwa naród rosyjski uznał cały szereg książąt i monarchów swych za świętych, np. Carową Olgę, księcia Włodzimierza, księcia Dymitra, W. księcia Aleksandra Newskiego, książąt Borysa i Gleba i t. d.

Było ich sporo... i kto wie, może jeszcze więcej będzie. W każdym razie dynastja chętnie aprobowała ujawnienie świętych, pochodzących z rodziny książęcej, ba, nawet sama przypominała, że „każda władza pochodzi od Boga", że „Boga należy się bać, cesarza zaś uwielbiać", wreszcie, że już sam fakt koronacji dawał prawo do tytułu „pomazańca", to znaczy takiego, którego Pan Bóg obdarzył specjalnymi względami, darując mu prawa autokraty-„samodzierżca".



W r. 1889 w soborze św. Izaaka w Petersburgu został umieszczony z rozkazu cara Aleksandra III obraz kilkumetrowej wielkości (pędzla anonimowego malarza), wyobrażający Chrystusa, udzielającego błogosławieństwa carowi, jego rodzinie, oraz otoczeniu jego. Na obrazie tym widzimy cara, po prawej ręce następcę tronu (Mikołaj II) wraz z bratem Jerzym, z poza których wygląda w. ks. Aleksy. Dalej przy lewej ręce Chrystusa widzimy jen. Wannowskiego. Za cesarzem stoją jen. hr. Woroncow Daszkow, oraz jen. Hlinka Marwin. Obok cara — carowa Marja, w. ks. Ksenia Olga, zaś przed nim w. ks. Michał; w prawym rogu Elżbieta.

Po lewej stronie od góry: jen. Lorys Melikow (autor konstytucji za czasów Aleksandra II), w. ks. Michał z żoną, hr. Protasow Bachmetjew, „Iwan" Kronsztadski, oraz w. ks. Mikołaj (starszy) z żoną.

Jak widać — towarzystwo dobrane i całkiem gotowe do wejścia w ogrody rajskie (proszę spojrzeć na szaty), — a już jak sam Chrystus błogosławi, to kto i co ma do gadania tam, przy bramie!...

W okresie 1-ej rewolucji (1905 — 1906 roku), nieznany sprawca pokrajał obraz ten jakiemś ostrem narzędziem.

Obraz zabrano do reperacji, po ukończeniu której nie wrócił na poprzednie miejsce, lecz został umieszczony w jednej z cerkwi Carskiego Sioła, gdzie bolszewicy w r. 1918 skazali go na spalenie.

I spalili...

J. Ślep..

O piękności prababek

Szaleństwo mody, zmiennej, kapryśnej i despotycznej, jak kobiety, które jej służą, dyktuje nietylko barwę i krój sukni, ale i wykrój brwi, rysunek oka, ton cery. Męczennice instytutów piękności pozwalają sobie wyrywać po włosku brwi, aby cienki łuk nadał oczom barwę powiek, podkutych sińcem niedyskretnego znużenia. Usta o barwie koralu, usta opiewane przez poetów, jako „wiśnie" „rubiny" lub „róże" — są dziś wycięte w kształt naiwnego serduszka, malowanego zabiegliwie pod kolor i karnację skóry. Inną cerę ma piękna pani pod wieczór, w nerwowym migocie lamp elektrycznych, inną pod niepobladli wem słońcem poranka. Bogata gama możliwości od porcelany prześwietlonej jak koncha, delikatnem różem, poprzez brzoskwiniowy aksamitny pastel aż po natarczywą barwę prawie złotej mandarynki aż po niepokojący dziwaczny „centre de violettes". Istotnie przy tym wyborze kremu, pudru i różu prawdą staje się popularna paryska maksyma:

— „Niema kobiet brzydkich. Są tylko zaniedbane".

Od zasobnej w arsenał kosmetyków tualety współczesnej Pani cofnijmy się wstecz o parę wieków i zerknijmy w stronę gotowalni prababci. Ile czasu poświęcała swej urodzie? Jak w odróżnieniu od chemicznych przetworów prymitywnie hołdowała sokom ogórków, poziomek i lilij! I z jakim skutkiem?

Wiek XVIII wysoce cenił sobie cerę „klasztorną". W epoce „waporów", omdleń i spazmów wygląd twarzy bladej, zda się, dogorywający, był bardzo w modzie. Nasze prababki miały więcej wolnego czasu niż my. I czas ten użytkowały z dużą energją na siedzenie przed zwierciadłem. Jeszcze teraz niekiedy w skrytce staroświeckiej sekrety znajdujemy pożółkły zwitek papieru, pachnący lawendą, który zawiera talizman piękności. Recepty, które są ekstraktem wiedzy napoły magicznej, napoły aptekarskiej, śmieszne i rozrzewniające zarazem. Podług nich trzeba paznogcie obcinać tylko o nowiu, a ciało nacierać skomplikowaną maścią, złożoną z dwóch uncyj wężowego sadła i szczypty masła, benzoesu i muszkatu, zmieszanych w cienkiem winie, z majerankiem dla zapachu, aby uniknąć krost i wyrzutów. Nieposzlakowaną biel twarzy można utrzymać — o ile wykwintnisi starczy odwagi — przez nacieranie policzków krwią świeżo zabitego gołąbka.

I subtelna znajomość perfum nie była obca prababkom. Szkatułki, w których przechowywały peruki, po dziś dzień pachną ambrą. Rękawiczka czy wachlarz ze strusich piór — pełne sekretnego znaczenia drobiazgi, które stawały się narzędziem wymyślnej kokieterji — były przepojone zapachem właścicielki, niepokojącą wonią jej kobiecości.

Wykwintne damy z przed dwustu lat umiały same fabrykować perfumy — z olejków różanych, liljowych, z bzu i lawendy tworzyły bukiet „Mille Rewes", którym jeszcze dziś zalatują ich aksamitne roby, o ile gdzieś zostały na dnie staroświeckich komód, muzealne, sypiące się zabytki przeszłości.

Dzisiejsze dziewczęta, w wyciętych przewiewnych sukienkach biegające po korcie tenisowym nie uwierzą, że w ubiegłej epoce ich rówieśniczkom nakładano na szyje stalowe obręcze aby nadać ich postawie wyniosłość monarszą. „Il fallait bien souffrir pour etre belle!" Zamknięte w klasztorze dziewczę, marzy o kapitanie gwardji królewskiej, którego widziało z okna karety i którego nigdy więcej nie zobaczy. Zaręczą ją bez jej wiedzy, wydadzą zamąż w błyskawicznem tempie. Z muszką na policzku, uróżowana, wykrygowana, nareszcie wchodzi w świat epoki którą uwiecznił Watteau. Boucher, Moreau.

Pracowity jej dzień rozpoczyna się skoro świt — koło 12-ej. — W łóżku wypije filiżankę czekolady. Ktoś puka do drzwi. To modniarka, lub pucułowaty ksiądz, lub kuzyn z prowincji. Z uśmiechem wysłuchuje ploteczki o ostatnim skandalu, madrygału na swoją cześć, prośby o wstawiennictwo do Dworu. Przebranie w amazonkę, niespokojnym wierzchowcem spacerkiem jedzie do Lasku. Wraca do domu z apetytem i schrupawszy coś nie coś, udaje się z wizytą do przyjaciółki, po zakupy, lub po przepowiednie do tajemniczej wróżki, która z kart umie odczytać zawiłe horoskopy.

Wieczorem w świetle pochodni, wspaniała karoca galopem porywa ją na maskaradę do Opery. Intryguje zawzięcie aż do brzasku, kiedy zabawa w pełni i kiedy doprawdy wcale nie chce się spać. Najlepiej pojechać gromadnie na przedmieście do karczmy, gdzie hasa i tańczy ludek, paryska „hołota". Gdy już dobrze dnieje, wraca Dama. O twarzy zielonkawej ze znużenia pod grubą warstwą szminki, i rozebrana pieczołowicie przez subretkę, układa się wreszcie do snu w wspaniałem łożu pod baldachimem.

Sen należy się po dniu tak pracowitym... Ależ jakie było twe przebudzenie, piękna Pani, gdy zamiast dystyngowanego gawota obudził cię pewnego pięknego poranku gwizd karmanioli? Ty, któraś się wzdrygała na widok szczura, heroicznie próbowałaś stawić czoło rewolucji. A gdy los zmusił cię do wstąpienia na szafot, czyniłaś to z taką dezynwolturą i elegancją, jak gdyby wdzięcznie przegięty markiz prosił cię do tańca...



Ostatni model masek dla nurków morskich zawiera około 2000 metrów kwadratowych tlenu, wystarczającego na dwie godziny. (Atlantic).



Straż ogniowa narażona bywa często na zatrucie gazami, przy gaszeniu ognia. Dlatego też otrzymała maski, chroniące przed zaczadzeniem. (The New York Times).



Podczas międzynarodowej wystawy reklamy w Berlinie jednym z ciekawych eksponatów będą stroje ochronne wraz z maskami dla straży ogniowej. Na fotografji widzimy przenoszenie manekinów na teren wystawy. (Atlantic)

Twarz w masce

„Nie pieniądze, nie chleb, nie ubranie, nie wódka jest dzisiaj potrzebna obywatelowi do życia, a maska"... tak głosi wyjątek z jednej z licznych odezw sowieckiego „Awiochimu". Zdanie to napozór paradoksalne, jest jednak całkiem prawdziwe. Gdziekolwiek nie rzucimy okiem wszędzie ujrzymy maskę, którą życie zmusza człowieka do wdziewania.

Na polu bitwy, czy na boisku sportowem, w walce z pożarem, czy w poszukiwaniu skarbów w zatopionych okrętach, trując szczury, czy wybierając miód z ula — wszędzie maska staje się niezbędną. Użyta w jakimkolwiek celu maska staje się wykładnikiem dzisiejszego życia. Potworny jej kształt, upodabniający człowieka do jakiejś bestji apokaliptycznej, zmieniający twarz ludzką, ten obraz i podobieństwa Boga, na niesamowity pysk zwierzęcy, stworzony z początku w celach naukowych i sportowych, staje się wreszcie upiorem, gnębiącym ludzkość grozą wojny chemicznej.

Głęboka treść mieści się w przytoczonem powyżej zdaniu. Maska wkrótce stanie się niezbędną częścią garderoby, tak jak chustka do nosa, lub parasol. Ojciec rodziny dbający o jej bezpieczeństwo będzie musiał wprowadzić do swego budżetu wydatków rubrykę: „maski przeciwgazowe". Pierwszą nauką dla dzieci we freblówkach będzie umiejętność obchodzenia się z maską. Narzeczony będzie ofiarowywał swej narzeczonej na prezent ślubny maskę najnowszego systemu. Brr... perspektywa ponura, może przesadzona, ale jakże zbliżona do prawdy.



„Base-ball" to nowy emocjonujący sport zimnokrwistych Anglików. Jest on jednak niebezpieczny dla „cery" graczy, którzy w ogniu gry zapominają o opanowaniu ruchów. Maska jest pewną ochroną. (Wide World).



Sowiety prowadzą intensywną propagandę na rzecz „Awiochinu". Pochód w maskach gazowych po ulicach Moskwy robi upiorne wrażenie — a dla nas stanowi ostrzeżenie. (Atlantic).



Również „pokojowo" nastrojone Niemcy urządziły w Lipsku pochód na rzecz obrony przeciwgazowej. Całe szczęście, że uczestnicy pochodu ukryli swe obłudne twarze pod maską. (Atlantic).



Nr. 3. „Lili"



Nr. 4. Elizeusz Daniel Gilch (Kraków)



Nr. 5. „Elżunia"



Nr. 6. Miecio Waliszewski (Poznań)



Nr. 2. „Nasz jedynak" (Lwów)



Nr. 1. Juljan Rzymowski (Łódź)

Z nadesłanych fotografij konkursowych umieszczamy powyżej pierwszą serję w liczbie dwunastu. Druga serja ukaże się w numerze nast. „7 Dni". Numery te należy zachowywać do finału konkursu.

Wydawnictwo „7 DNI" oraz fabryka znako

WIELKI KONKURS „NAJPIĘK

WARUNKI

1) Fotografje konkursowe pięknych dzieci polskich w ilości nie większej nad dwa zdjęcia jednego dziecka nadsyłać winni rodzice lub opiekunowie pod adresem Wydawnictwa „7 DNI", ul. Marszałka Focha 2 w Warszawie, z dopiskiem na kopercie: „Konkurs Najpiękniejszego Dziecka Polskiego".

2) Format tych fotografij nie może być mniejszy niż 6 na 9 cm. Pożądane są fotografje wyraźne, czarno-białe, na glansowanym papierze. Fotografij w żadnym wypadku Wydawnictwo „7 DNI" nie odsyła— można je będzie natomiast odebrać po zakończeniu konkursu w Administracji „7 DNI".

3) Każda fotografja winna zawierać na odwrocie wyraźnie wypisane: a) imię, nazwisko i datę urodzenia dziecka, b) nazwisko i dokładny adres rodziców, oraz — w wypadku, gdyby Rodzice lub Opiekunowie nie życzyli sobie ujawnienia nazwiska przed finałem konkursu, c) odpowiednie zastrzeżenie i godło.

4) Do każdej fotografji należy dołączyć: a) odpowiedni kupon, wycięty z „7 DNI", oraz b) etykietę (opakowanie papierowe) 100-gramowej tabliczki czekolady „SUCHARD" z jednego z następujących gatunków: „VELMA", „MILKA", „MILKA AMERE", „MILKA-NUT", „ST. BERNARD", „JUBILEUSZOWA", „CAFOLA", „ORANGE", „VELNUT" lub „BITTRA", albo opakowanie 100-gramowej paczki kakao „SUCHARD". Bez kuponu „7 DNI" i bez tego opakowania zgłoszenia nie będą ważne.

5) Termin nadsyłania zgłoszeń wraz z fotografjami, kuponami „7 DNI" i opakowaniami „SUCHARD" upływa nieodwołalnie dnia 1-go października r. b. o g. 24-ej (o północy). Miarodajna jest data stempla pocztowego.

6) Czytelnicy „7 DNI" sami, na podstawie umieszczanych w „7 DNIACH" fotografij pięknych dzieci polskich wyróżnionych przez jury, wybiorą „Najpiękniejsze Dziecko Polskie", które otrzyma 1-ą nagrodę. Pozostałe nagrody rozdzielone zostaną stosownie do ilości głosów, otrzymanych przez dzieci, biorące udział w konkursie.

7) Specjalne jury kwalifikować będzie nadesłane fotografje do umieszczenia na łamach „7 DNI". Kontrolę nad plebiscytem Czytelników i rozdziałem nagród sprawować będzie notarjusz.

8) W skład jury konkursowego, kwalifikującego fotografje do umieszczenia na łamach „7 DNI", a tem samem do dopuszczenia ich do udziału w wielkim plebiscycie Czytelników „7 DNI", wchodzą pp.: Juljan Ejsmond, Tadeusz Gronowski, Kornel Makuszyński, Marja Modzelewska, Stefan Norblin, Jan Piotrowski, Zuzanna Rabska, Eugenjusz Rafalski, Jadwiga Kiewnarska (Well).

JULJAN EJSMOND.

Dzidziuś cieszy się słońcem...

Dzidziuś dziękuje Bozi,
że na niebie śmieje się słońce. —
Nie będą zato broić,
dzidziusia łapki psocące...

Dzidziuś ogromnie lubi
jak jest taka śliczna pogódka...
A jak pada deszczyk—Dzidziowi
od płaczu trzęsie się bródka...

I wtedy Bozia powiada:
„Rozejdźcie się brzydkie chmurki!
Bo jak słonko będziecie zasłaniać
zasmucą się oczki — lazurki...


Nr. 7. Urszula Słupczyńska (Poznań)


Nr. 8. Marja Magdalena Badziąg (Brześć n/B)


Nr. 9. Rożena Zielińska (Lwów)


Nr. 10. Joasia Modrzejewska (Lublin)

mitej czekolady „SUCHARD" ogłaszają

NIEJSZE DZIECKO POLSKIE"


Nr. 11. Jureczek Zieliński (Grodzisk Mazowiecki)


Nr. 12. Danusia Wójcikówna (Wilno)

NAGRODY

DLA MATEK NAJPIĘKNIEJSZYCH DZIECI:

1 *Nagroda: 3000 złotych.*
2 *Nagroda: 1000 złotych.*
3 *Nagroda: 750 złotych.*
4 *Nagroda:* Maszyna do szycia „Singera"
5 *Nagroda:* Aparat kinematograficzny Pathé Baby z kasetą, filmem i statywem
6 *Nagroda:* Gramofon „Dancephon" z 5 płytami.
7 *Nagroda:* Mebelki dziecinne z „Komispolu".
8 *Nagroda:* Aparat fotograficzny „Kodak".
9 *Nagroda:* Piłka skórzana do napompowywania z „Komispolu".
10 *Nagroda:* Wieczne pióro „Platignum" z „Komispolu".

UWAGA: Nagrody pieniężne będą wypłacone w postaci książeczek oszczędnościowych P. K. O.

DLA CZYTELNIKÓW „7 DNI"

(Nagrody poniższe zostaną rozlosowane wśród wszystkich Czytelników *„Siedmiu Dni"*, którzy wezmą udział w plebiscycie drogą nadesłania głosu na dziecko, zasługujące ich zdaniem na 1-ą nagrodę).

1 *Nagroda: 2000 złotych.*
2 *Nagroda:* Kompletny radjoaparat „Natavis" wartość 1500 złotych.
3, 4 i 5 Nagrody: po 500 zł.
6, 7 i 8 Nagrody: po 300 zł.
9 *Nagroda:* Aparat kinematotograficzny „Pathe Baby" z kasetą, filmem i statywem.
10 *Nagroda:* Aparat fotograficzny „Kodak".
11 *Nagroda: 150 złotych.*
12, 13, 14 i 15 Nagrody: po 100 zł.
16 do *24-ej Nagrody:* wiecne pióra „Platignum" z „Komispolu".
25, 26,27 i 28 *Nagrody:* piłki skórzane do napompowywania z „Komispolu".

Wszystkim dzieciom, biorącym udział w tym konkursie, znana fabryka czekolady „SUCHARD" nadeśle w podarunku paczkę kakao „SUCHARD", oraz piękny wielobarwny balonik.

Jak nam słonko będziecie zasłaniać
obłokiem, co deszczem grozi, —
wykrzywi się buzia w podkówkę
i Dzidziuś poskarży się Bozi"...

Przelękły się szare chmurki
i zwiały daleko z błękitu...
I zajaśniało słoneczko,
aż Dzidziuś się zaśmiał z zachwytu...

Słoneczko ma złotą buzię
roskosznie na niebie się złoci...
Wesołe jest, jak Dzidziuś
i jak Dzidziuś czasami psoci...

A z nieba deszcz czasem pada
nim kto się obejrzeć zdoła...
Niebo jest czasem niegrzeczne:
deszcz pada — a ono nie woła...

BEZPŁATNE ZDJĘCIA KONKURSOWE

Na mocy specjalnej umowy następujące pierwszorzędne Zakłady Fotograficzne dokonują bezpłatnych zdjęć dzieci naszych Czytelników, biorących udział w konkursie „7 DNI":

WARSZAWA—JAN MALARSKI, CHMIELNA 10
KRAKÓW—FOT. „JANINA", STAROWIŚLNA 28
LWÓW—ZAKŁ. FOT. „GROTTGERA", AKADEMICKA 3
ZAKOPANE—FOT. SCHABENBECK, KRUPÓWKI
RABKA—FOT. „JANINA".

Adresy fotografów w innych miastach zamieścimy niebawem.

KONKURS NAJPIĘKNIEJSZEGO DZIECKA POLSKIEGO.
„7 DNI".
KUPON Z N-RU 28-GO.

Obrazek niedalekiej przyszłości

Pan Krzepecki spojrzał na kalendarz i przeczytał na głos: 25-tego edissona 2002 roku! — Boże, jak ten czas leci — ale, ale, Maryniu — nie mogę się zorjentować — czy to nie dziś czasem jest nasza rocznica ślubu — wypadała przecież za starego kalendarza 28-go sierpnia?

— Dziś, dziś, staruszku, — odpowiedziała z uśmiechem siwa pani — od dwudziestu lat już wprowadzono ten nowy kalendarz, a ty jeszcze sięgasz myślą do starego!

Rzeczywiście sędziwy pan Krzepecki nie mógł się przyzwyczaić do nowego kalendarza. Będąc człowiekiem postępowym, szedł z duchem czasu, korzystał ze wszystkich dobrodziejstw cywilizacji, do dwóch tylko rzeczy nie mógł się przyzwyczaić: do kalendarza i nowoczesnych strojów. Najchętniej przywdziewał smoking, kroju lat trzydziestych ubiegłego wieku, do którego nosiło się potwornie sztywną koszulę z kanciasto-ostrym kołnierzykiem. Co zaś do kalendarza to zwykł był gderać: — Tak, Curie, Einstein, Marconi, Korowiko, Vicek — byli wielkimi ludźmi, ale żeby ich zaraz do kalendarza na nazwy miesięcy pozamieniać — tego nie! tego bym nie robił — a co będzie jak przyjdą jeszcze więksi od nich?

*

Państwo Krzepeccy siedzieli na obszernym tarasie ze szkła i betonu. Panorama wielkiej Waszawy rozpościerała się przed nimi. Zachodzące słońce kładło swe czerwonawe błyski na srebrzystym ma[illegible] siedzeń. Taras, zegarowym mechanizmem poruszany, obracał się nieznacznie i w ten sposób ludzie na nim siedzący, zawsze mieli słońce przed sobą.

— Ciekaw jestem, czy nasze dzieci pamiętają o rocznicy? Nie wiem co z Julkiem — już od onegdaj nie miałem od niego wiadomości. Ostatnio telefonował z Haiti, wygląda świetnie, mówił mi, że wyjeżdża do New-Yorku. Jeżeli rzeczywiście onegdaj wyjechał, to wczoraj się spotkał z Jerzym i może obaj z rodzinami do nas się wybiorą.

Jakby na potwierdzenie tych słów na szklanej płycie Phowizora zapłonęło czerwone światełko. Pan Krzepecki nacisnął guzik na stojącej przed nim mahoniowej płytce i na ekranie zjawiła się postać Jerzego. Pan Krzepecki przesunął strzałkę na „głos" i niezwłocznie dały się słyszeć donośne słowa Jerzego: — Hallo! dzień dobry! winszuję Rodzicom. Widziałem się wczoraj z Julkiem i dziś właśnie wybieramy się do was. — O której można się was spodziewać? — zapytała pani Krzepecka, nachylając się do mikrofonu.

— Rakieta do Eurazji wystrzela z New-Yorku o 18-ej czasu międzynarodowego. Przypuszczam, że przed 21 nie zdążymy być u was.

— Więc czekamy — do zobaczenia dziś wieczór!

Uśmiechnięty obraz Jerzego oddalonego o 3.000 klm. zniknął z ekranu. Pan Krzepecki wyłączył aparat.

Staruszkowie udali się mieszkania celem porobienia odpowiednich przygotowań.

O godz. 19.40 uczta była gotowa.

— Maryniu, pójdziemy zobaczyć, jak nasze dzieci lądują.

— Oczywiście, — odrzekła staruszka.

Pan Krzepecki zbliżył się do Phowizora i zadzwonił na Stację Połączeń Obrazowych.

— Hallo, — odezwał się dźwięczny głosik.

— Proszę o połączenie ze Stacją Lądowania Rakiet Transatlantyckich.

— Którą? — zapytała telefonistka.

— „A" i „B" — odparł pan Krzepecki.

Po chwili na ekranie zarysowały się wybrzeża Atlantyku, następnie Dover, gdzie mieściła się stacja lądowania „A". Z betonowej wysepki wystrzelały w górę 2 olbrzymie rury ze srebrzystego metalu, przypominające tuby gramofonowe z początku XX wieku. Rakieta wystrzelona w New-Yorku, po niecałych dwóch godzinach jak piorun spadała do Dover i znikała w jednej z oczekujących rur, by po 15 minutach, przebywszy tunel pod kanałem La Manche i zwolniwszy biegu, wysunąć się na światło dzienne w olbrzymim szklanym dworcu przyjazdowym „B" w Calais.

*

Na trzy minuty przed godziną 20 czasu międzynarodowego przeciągły gwizd dał się słyszeć przez głośnik a na wysepce betonowej, która rysowała się wyraźnie na ekranie — zapłonęły czerwone światła. Sygnalizowano przylot rakiety. Poruszyły się gardła olbrzymich tub — to fale elektryczne regulowały ich nastawienie.

Po chwili dał się słyszeć nieopisany dźwięk, świst i gwizd jednocześnie i smuga niebieskawego błysku przeszyła powietrze. To oswojona meteor-rakieta mignęła w szarości zmierzchu i po ułamku sekundy zniknęła w olbrzymiej tubie odbiorczej stacji „A".

Pan Krzepecki przełączył korbkę i na ekranie zjawił się inny obraz. Nowy Cud — olbrzymi ze szkła i srebrzystego metalu, cały płonący niebieskawem światłem — dworzec przyjazdowy „B" w Calais.

Piętnaście minut trwała droga rakiety przez tunel pod kanałem od stacji lądowania „A" do dworca przyjazdowego „B". Tyle czasu było potrzeba na zahamowanie jej pędu.

*

O 20.15 torpeda stanęła pod arkadami. Pan Krzepecki przesunął strzałkę aparatu na „Zbliżenie" i widział teraz rakietę z odległości 10 mtr. G. M., inicjały największych w świecie fabryk komunikacyjnych — General Motors z tej odległości były zupełnie widoczne. Gładkie ściany rakiety w pewnym momencie pękły. Hermetycznie zamknięte drzwi otworzyły się automatycznie i w otworach ukazali się pasażerowie.

— Oni! — krzyknęła pani Krzepecka. Rzeczywiście były to dwie rodziny Krzepeckich: Jerzy i Julek z żonami, oraz dzieci: dwaj chłopcy Jerzego i Mary — córeczka Julka.

Po godzinie dom państwa Krzepeckich rozbrzmiewał wesołemi głosami dzieci. Po przywitaniach i pocałunkach, które w XXI wieku były równie popularne, jak w poprzednim, — rodzina zasiadła do wieczerzy.

— Michasia nie widziałam już bodaj dwa tygodnie — powiedziała babunia, gładząc chłopca po blond główce — wydaje mi się, że urosłeś i zmężniałeś!

— Tak! dwa tygodnie to duży przeciąg czasu — odparł Jerzy — to bodaj tyle, co pół roku w czasach, kiedy się jeździło pociągami i samochodami. A propos samochodów — ojcze! — Mary mnie zamęcza, pyta ciągle, co znaczy ten pierścień, który stale nosisz podczas uroczystości rodzinnych. Nie chciałem jej sam opowiadać, i przyrzekłem, że ojciec to dzisiaj uczyni.

— Widzicie ten pierścień? — rzekł ojciec. — Zwykła obrączka złota, a zamiast kamienia—płytka emaljowana z napisem „Chevrolet". Dawne to dzieje. Byłem wówczas — bo zdarzenie to miało miejsce w roku 1929 — jeszcze młodym człowiekiem, — poślubiłem wtedy właśnie waszą matkę i babunię.

— Mieszkaliśmy na Kresach Wschodnich. Zajmowałem tam posadę państwową. Marynia — to wskazał na panią Krzepecką — również była urzędniczką. Pracowaliśmy oboje i byliśmy szczęśliwi. Pewnego dnia, bodaj w 3 miesiące po ślubie, obliczywszy nasze zarobki i oszczędności, oznajmiłem Maryni: kupujemy samochód!

— Trzeba wam wiedzieć, że wówczas samochody nie były jeszcze jedynym środkiem lokomocji. Istniały obok nich takie koleje parowe, statki i t. d. Komunikacja aeroplanowa dopiero zaczynała się rozwijać, a co do rakiet, to były wtedy czynione pierwsze niedołężne próby. Polska specjalnie była upośledzona pod względem komunikacji samochodowej. Świeżo po uzyskaniu niepodległości nie zdążyła jeszcze rozbudować dróg; polskie drogi, pełne wybojów, wyrw i niebezpieczeństw, były słynne w Europie jako pułapka na samochody. Pozatem, wskutek zubożenia społeczeństwa mało kto mógł sobie pozwolić na samochód. W Polsce był samochód jeszcze luksusem, podczas gdy w Ameryce — artykułem pierwszej potrzeby. W roku 1929 właśnie sytuacja zaczęła się nieco zmieniać. Oto największa fabryka samochodów na świecie „General Motors" wypuściła nowy model samochodu sześciocylindrowego, pięknego w linji i odpowiedniego na polskie drogi. Był to właśnie „Chevrolet", którego godło widzicie na pierścieniu.

Tę maszynę właśnie miałem na myśli, mówiąc o kupnie samochodu. I trzeba wam wiedzieć, że to auto było jak na owe czasy bardzo tanie. Kosztowało 1.400 dolarów.

— Otóż kupiliśmy ten samochód na raty (system ratowy wtedy dopiero zaczynał się rozwijać w Polsce) — bawiliśmy się nim, myliśmy, czyściliśmy go, obchodziliśmy się, jak z żywem stworzeniem. Odbywaliśmy spacery, wycieczki i t. d. Był tak śliczny, że szkoda nam było używać go do dłuższych podróży. Zresztą nie przypuszczałem, że będzie dostatecznie silny. I oto pamiętam, jak dziś, 28 kwietnia, t. j. 25 Frere'a wdg. nowego kalendarza, żona zachorowała. Wezwałem jedynego lekarza w miasteczku. Nie umiał postawić djagnozy. Zapisał jakieś niewinne środki i kazał czekać. Czekaliśmy trzy dni, ale stan ciągle się pogarszał. Wysoka gorączka, obrzmienie członków, straszne bóle — wszystko to zwiastowało groźny stan. Lekarz wreszcie orzekł, że to zakażenie i kazał natychmiast wieść chorą do Warszawy do profesora. Było to ok. godz .10 rano. Jedyny pociąg, który zatrzymywał się w naszem mieście, odjechał o godz. 9-ej. Trzeba było więc czekać 23 godziny na następny. Ogarnęła mnie rozpacz. Nie możecie sobie w dzisiejszych czasach wyobrazić, co znaczyła wówczas odległość 800 km. Wówczas pomyślałem o moim eleganckim „Chevrolecie". Nie było rady. Zabrałem dostateczną ilość benzyny i oliwy, nie liczyłem bowiem na to, że będę mógł się zatrzymywać w drodze, ulokowałem żonę, która była nieprzytomna, jak najwygodniej, obłożyłem poduszkami i o godz. 11-ej rano wyjechałem. Na najgorszej drodze w świecie rozwinąłem szybkość 100 km/godz. i mknąłem jak strzała. Góry, doły, przeszkody, kamienie, pnie — nic nie mogło mnie powstrzymać! „Chevrolet" wtedy pokazał co umie. Rwał naprzód, sadził przez rowy, wdrapywał się po wzgórzach, brnął przez wodę i szedł naprzód, wciąż naprzód, ani razu się nie zahaczył, ani razu najmniejszy defekt motoru nie zatrzymał go w pędzie. A jak elastycznie jechał! Wówczas zrozumiałem, co znaczą resory w samochodzie. Gdyby nie te idealne wprost resory „Chevroleta", żona nie dojechałaby żywa do Warszawy. Podczas tej szalonej jazdy pojąłem, co znaczył koń dla rycerza średniowiecznego. Zrosłem się wtedy poprostu ze swą maszyną i pokochałem ją. Zdawało mi się, że motor żyje i rozumie moją rozpacz.

Później zrobiłem na niej setki tysięcy kilometrów i szedł bez zarzutu, ale wówczas poraz pierwszy naprawdę go oceniłem. O godz. 9-ej wieczorem byliśmy w Warszawie. Profesor orzekł, że niema ani chwili do stracenia i już o 10-ej dokonano operacji. Żona była uratowana. Pamiętam, że wtedy wyszedłem przed klinikę i oparłszy się na brudnej i obłoconej chłodnicy mego „Chevroleta" rozpłakałem się ze szczęścia.

Rozumiecie teraz dlaczego noszę jego godło na pierścieniu?

Zapanowała cisza.

Wszyscy popadli w zadumę. Rozmyślali o tych romantycznych czasach, kiedy to doby było potrzeba na przebycie 1000 klm., kiedy jeździło się samochodami po wyboistych drogach, kiedy były połacie ziemi w kraju cywilizowanym, gdzie można było umrzeć z powodu braku pomocy lekarskiej.

— No, dzieci! — przerwał ciszę Jerzy — Trzeba ruszać! Umówiliśmy się z Winghtami, że spędzimy noc w Paryżu w hotelu „Esprit".

A kiedy błyskawiczne aero niosło dwa pokolenia Krzepeckich do Paryża, staruszkowie pogrążyli się w rozpamiętywaniu dawnych dziejów. Gawędzili o czasach swej młodości, przeglądali fotografje przyjaciół, z których mało kto już został przy życiu.

— A to nasz wierny przyjaciel — rzekł pan Krzepecki, wydobywając ze szkatułki dużą fotografję — spójrz, jaki ładny!

Pani Krzepecka spojrzała na smukłą i kształtną sylwetkę „Chevroleta" z roku 1929 i łzy zabłysły w jej oczach. To zdjęcie najbardziej przypominało jej czasy młodości, młodości, która w wieku XXI była skarbem tak samo bezcennym — jak w 20-u poprzednich.

Bobby

Czy wiecie że...

...w tak zwanej „bitwie granicznej" stracili Francuzi w ciągu kilku zaledwie dni 700 tysięcy rannych i zabitych.

*

...istnieją pewne gatunki owadów, które żyją tylko jeden dzień. Nie posiadają one narządów pokarmowych i dosłownie całe życie spędzają na jednej wielkiej „uczcie" miłosnej.

*

...zgłoszono do francuskiego urzędu patentowego aparat, przy pomocy którego można rozpylić w ciągu 7 godzin pracy farbę, na powierzchni 200 metr. kw.

*

...niedawno złowiono pod Berlinem pstrąga, ważącego 45 kilogramów, o długości dochodzącej prawie jednego metra.

*

...w Stanach Zjednoczonych najmniejszy nakład książki wynosi 44 tysiące egzemplarzy.

*

...za najcenniejszą biblję świata uważają znawcy biblję rosyjskiego księcia Paleya, wystawioną obecnie na licytację. Okładka tej biblji jest cała wysadzana djamentami i szmaragdami. Zamek zrobiony jest z szafirów, zaś tekst drukowany jest drobniutkiemi literkami złotemi.

*

...dziwne dzieje przechodził zegarek, zagubiony prze Marję Sztuart jeszcze w roku 1564. Dwieście lat przeleżał zegarek ten na pastwisku, aż wreszcie został znaleziony przez pasterza, który oddał go właścicielowi gruntu. Obecnie przypadkowo odkryto go w Transwaalu. Mimo tylu „przejść" zegarek pozostał nieuszkodzony, co świadczy o solidności roboty ówczesnych zegarmistrzów.

BRUNO WINAWER.

Rekordy

Teraz znów jakiś wielki statek pasażerski „Brema" tnie, pruje i roztrąca fale Atlantyku, sunie przez mgły i wiatry do Nowego Jorku i usiłuje zdobyć „błękitną wstęgę oceanu". Chodzi o *rekord* transatlantycki na powierzchni globu. „Brema" odrabia 28 mil morskich na godzinę, wali przed siebie, jak ekspres kolejowy, i miejmy nadzieję, że zdobędzie upragnioną wstążkę.

Biednego Kolumba już pobiła *w stosunku 14:1.* Głośny nawigator i odkrywca kołatał się po wodach przez dziesięć długich tygodni, jechał na Kubę 70 dni zamiast pięciu, ale w wieku piętnastym uchodził za rekordzistę i nosiłby błękitną wstążeczkę w klapie, o ileby podówczas istniały (obie—t. zn. klapa i wstążeczka).

Poco tu rzecz owijać w bawełnę — we wszystkich dziedzinach i na wszystkich polach pobiliśmy czcigodnych praojców naszych sromotnie. Gdybyśmy — wzorem pism sportowych — ułożyli tabelkę i zestawili nasze „wyczyny", drużyna, złożona z najlepszych przodków i najdzielniejszych antenatów, odpadłaby już w przedbiegach.



Okręt pasażerski „Bremen", który pobił dotychczasowy rekord podróży z Europy do Ameryki o 8 godzin. (Atlantic)

Kilkadziesiąt lat temu Akademja francuska, nagabywana ustawicznie przez różnych wynalazców, ogłosiła wreszcie urbi et orbi wyrok ostateczny: Każdego, ktoby chciał fruwać w maszynie cięższej od powietrza, należy uważać za warjata...

Fruwamy i to wcale nieźle. Przelecieliśmy Alpy, lodowce podbiegunowe, Saharę, Australję, dwa oceany, wybieramy się w podróż powietrzną dookoła świata. Wzbiliśmy się na wywrotnej awjonetce aż do granic stratosfery i mamy zamiar w samolocie rakietowym objechać księżyc.



Okazuje się, że nietylko Matuzalem mógł się poszczycić długowiecznością, bo oto w Anglji cieszy się dobrem zdrowiem p. Timpton, który obchodził niedawno 126 wiosnę życia. (Wide World)

Przed wiekiem, kiedy — jak to mówią w artykułach oficjalnych — „wentylowano" kwestję poczciwej kolei żelaznej, pewna dostojna korporacja naukowa zamknęła opinję swoją w zdaniach krótkich i nieodwołalnych:

„Czterdzieści kilometrów na godzinę? Pasażerowie w wagonach dostaną pomieszania zmysłów. Człowiek takiej szybkości nie wytrzyma. Po obu stronach planu kolejowego trzeba będzie stawiać wysokie parkany i maskować w ten sposób gwałtowny pęd uciekającej z pod kół ziemi".

Parkanów nie stawiamy, nic nie maskujemy. Wytrzymaliśmy. Pociągi elektryczne mają szybkość trzy razy większą, major Segrave w samochodzie wyścigowym łyka trzysta kilkadziesiąt kilometrów na godzinę, hydroplany suną po szlakach podniebnych dziesięć razy prędzej od starych samowarów, lokomotyw Stephensona. Poważni inżynierowie zastanawiają się nad tem, czy aeroplan rakietowy będzie mógł odrobić dystans Berlin — Nowy Jork w ciągu... *26 minut!*

Jeden z najsłynniejszych rekordów antycznych— przepraszamy, że tu znów te stare historje odgrzewam — głośny „bieg maratoński" powstał przypadkowo. Stolica państwa chciała mieć wiadomości — możliwie najszybszą — o wyniku pewnej bitwy z Persami. Rozstawiono tedy szybkobiegaczy...

Pożal się Boże! Krótka fala elektryczna oblatuje ziemię przez jedną jedyną sekundę osiem razy dookoła i nimby szybkobiegacz ateński prawą nogę podniósł wgórę — jużbyśmy depeszami iskrowemi i głośnikami radjowemi zdążyli zawiadomić wszystkich Greków, Japończyków, Hindusów, Eskimosów, Hotentotów o rezultacie niewielkiej utarczki na wybrzeżu Attyki...

Przez dłuższy czas krążyły po świecie uporczywe wieści, że istnieje taki rodzaj zawodów lekko-atletycznych, w których ekipa „pradziadowie" ma poważne szanse w walce z prawnukami. Powieściopisarze historyczni — ze względów łatwozrozumiałych — wyrobili praszczurom naszym opinję Wyrwidębów, Waligórów, chłopów na schwał, junaków, Walgierzów wdałych, mocarzy, mołajców, zabijaków, Matuzalów (żył — podług encyklopedji Lama — *969 lat).*



Też swojego rodzaju rekord. Osobnik, nazwiskiem Alfredo Fernando, który tańczył bez przerwy 150 godzin. (Wide World)

Plotki! Powtarzaliśmy te baśnie cierpliwie, przyjmowaliśmy je za dobrą monetę, aż wreszcie pewnego pięknego dnia medycyna, antropologja porównawcza, osteologja, zabrały się do roboty, zakasały rękawy i jęły wydobywać na światło ciekawe fakty. Prześwietlono promieniami Roentgena stare mumje, przyjrzano się uważniej obrazom średniowiecznym... No, no!

Potężny faraon egipski chorował na skrzywienie kręgosłupa, jak dzisiaj stary taksator w lombardzie miejskim. Dzieciaki na obrazach Dürera i Holbeina cierpią najwidoczniej — wszystkie — na rachityzm i chorobę angielską. Słynny Tut-enk-hamen umarł wogóle w siedemnastej wiośnie. Wyrwidęby i Waligóry już w piątem dziesięcioleciu gięły się ku ziemi pod brzemieniem wieku. Cywilizacja przedłużyła nasz żywot na tym padole conajmniej o lat *dwadzieścia*

Oczywiście — przeszłość tonie w gęstym tumanie blagi. Trudno dziś zwoływać sądy, a komisje i określenia, jakie rekordy ma goniec maratoński i jakim czasem poszczycić się mogą wiatronogi Achilles i Hektor (bieg dystansowy dookoła zburzonej Troi). Nie wiemy, coby zdziałał Cezar w tenisie, Hannibal w piłce nożnej, jakby wysoko skoczył o tyczce Aleksander Macedoński.



Rekord długości biegu maratońskiego pobity został biegiem New York — Los Angelos, w którym wspaniałe zwycięstwo osiągnął długodystansowiec Finro John Salo w 525 godz. 57 m. (The New York Times)

Mimo to jednak w ew. spotkaniu Herkules mistrz Hellady — Garkowienko, radzę stawiać na Garkowienkę, w zawodach Dyskobol — Konopacka jestem za Konopacką i twierdzę, że Weissmueller pływa znacznie lepiej od jakiegoś legendowego Leandra, który nocą przez Hellespont itd. itd.

Człowiek się rozrasta, rozwija — nawet fizycznie.

Nic na to nie poradzimy, moi panowie.
Tak chce Nauka.

U stóp gilotyny

OSTATNIE SŁOWA SKAZAŃCÓW

— Która godzina?

Ktoś pociera zapałkę.

— Trzy na piątą.

— No, to już czas.

Światła błyskają w oknach. Słychać świergotanie jakiegoś wróbelka, otrzepującego skrzydełka na gałązce. Strop nieba poczyna blaknąć.

Nagle w senną ciszę przedświtu wpada turkot ciężkiego wozu. Dobiega krótka komenda:

— Na koń!

Wóz zatrzymuje się przy samym chodniku. „Pomocnicy" zeskakują na ziemię, przystawiają schodki. Pierwszy schodzi obrońca. Za nim ksiądz. I nagle, jak biała płachta, z szarzyzny przedświtu wybłyska widmowa twarz skazańca. Płomyk papierosa w zaciśniętych kurczowo ustach. Ręce mocno związane na plecach.

Rzucają się nań. Wleką. Trzask desek i charkot szybkich odechów. Zgrzyt stali. Coś spada ciężko do kosza...

— Skończone. „Sprawiedliwości stało się zadość" — jakby powiedział prokurator. Chodźmy na filiżankę kawy na Plac Denfert - Rochereau. Słyszał go pan?

— Kogo?

— Wróbla. Pan myślał, że mam na myśli skazańca? Był wyjątkowo cichy. Nawet się nie opierał. A wróbelki zawsze są tutaj głośne. Akompanjują każdej egzekucji. Nic dziwnego — cała ta dzielnica pełna ogrodów. Domy zdrowia, wille, klasztory, podwórca więzienne — wszystko tonie w zieleni. Wzdłuż samego Bulwaru d'Arago biegnie poczwórny rząd kasztanów. Pełno tu gniazd i ptaszęcego motłochu. Zbudzone wróble witają nas swym beztroskim świergotem, jakby pragnąc okazać, że gwiżdżą na szafot i na samego Deiblera.... Jeden z moich kolegów opowiadał, że pewnego razu szary wróbelek wskoczył na wierzch poprzeczki i stamtąd przyglądał się egzekucji, kręcąc główką i podskakując...

— Skazaniec nie wydał żadnego okrzyku.

— Tak, ale to jeden z rzadkich wyjątków. Zazwyczaj są więcej rozmowni. Chociaż pamiętam kilku, którzy dali swą głowę pod ostrze, nie wydając jednego okrzyku... Taki Derwaux naprzykład — wie pan, ten, który poćwiartował swą żonę. Albo polak Pachowski. — Byli zupełnie nieprzytomni ze strachu. Natomiast „Władek", który stojąc w wozie przyglądał się straceniu swego kompana, zauważył z uznaniem: „Dobra maszynka! Fiut! — i już!". Wypluł niedopałek papierosa i ucałował dłoń swej adwokatki, co nie przyszło mu z łatwością, gdyż był mocno skrępowany powrozami... Inny morderca, jakiś arab o przepysznym torsie atlety, przywitał tłum słowami „Dzień dobry, panie i panowie" — chcąc okazać, że umiera bez lęku... Zaciekawiają pana te wspomnienia starego obrońcy kryminalnego? Dobrze, przytoczę panu chętnie całą wiązankę „ostatnich słów skazańca".

Przedewszystkiem więc idą ci, którzy ograniczają się do pozdrowienia tłumu okrzykiem: „dzień dobry"! lub „dowidzenia!", jak np. Billon zabójca kilku kobiet, który głosem drżącym ze wzruszenia po przyjęciu Komunji żegnał księdza:

— Dowidzenia, mój ojcze!

Inną kategorję stanowią skazańcy, którzy tracą głowę ze strachu wprzód, nim ją stracą ostatecznie pod nożem gilotyny. Taki Troppman naprzykład jeden z najohydniejszych morderców tego stulecia, trząsł się cały ze strachu i kłapał zębami u stóp gilotyny, bełkocąc jakieś słowa bez związku. Do ostatniej chwili, aż do wyprowadzenia go z więzienia, nie tracił nadziei, że uda mu się uniknąć karzącej ręki sprawiedliwości. Jeszcze w przeddzień egzekucji próbował przesłać do swego brata list, w którym błagał go o przemycenie do więzienia sporej dozy chloroformu, potrzebnego mu do uśpienia dwuch dozorców i wartownika. Miał zamiar przebrać się w mundur tego ostatniego i zwiać, gdzie pieprz rośnie... Prosił również o nadesłanie bussoli, podług której chciał się orjentować podczas ucieczki.

„Jeżeli brak ci pieniędzy na bussolę i na chloroform — pisał — *przyślij mi przynajmniej kwasu pruskiego... Oszczędzę wam w ten sposób hańby i wyprzedzę nóż gilotyny"*...

Morderca Dudot, którego stracono w Chaumont, obrzucał katów przekleństwami i wyzwiskami:

— Łotry! Bandyci! Mordercy!

Nagle, spostrzegłszy snać, że nadawał im imiona, na które sam wielokrotnie zasłużył, ucichł i przestał się opierać.

Vacher, okrutny zabójca kilku pastuchów powtarzał bez przerwy:

— Niema sprawiedliwości... niema sprawiedliwości...

Verger, morderca arcybiskupa, krzyczał:

— Na pomoc! Zabijają!

Osobną kategorję stanowią skazańcy skruszeni, którzy pogodzili się z Bogiem i żałują swych grzechów. Spokojni, zrezygnowani, błagają swe ofiary i społeczeństwo o przebaczenie. Wielu takich widziałem już u stóp gilotyny. Przejęci do głębi, oddawali się potulnie w ręce katów, pragnąc odkupić śmiercią swą zbrodnię i umierając w stanie łaski.

Porucznik Anastay, morderca swej dobrodziejki, baronowej Dellard, stając w r. 1890-ym pod gilotyną, rzekł do kata, który obchodził się z nim nadzwyczaj łagodnie:

— Dziękuję...

Kilka ostatnich dni przed egzekucją spędził na gorących modłach i szedł na śmierć odważnie, jak na bitwę.

Niejaki Samabut, „krwawy goryl", jak go nazywano, morderca biednej staruszki, przypomniał sobie w ostatniej chwili że spędził swą młodość w klasztorze i, łkając, wpił się ustami w krucyfiks, niesiony przez duchownego.

Geomay, już przywiązany do deski, rzucił swym oprawcom:

— Dziękuję wam — byliście dobrzy dla mnie...

Ailerels, bandyta tuluzański, zwrócił się z podziękowaniem do swego adwokata, mówiąc:

— Już się nie zobaczymy, panie mecenasie...

Zaś zwracając się do spowiednika:

— Tobie, drogi ojcze, podziękuję tam, w górze. Spotkamy się tam napewno, bo żałuję mych grzechów i umieram, jak na dobrego chrześcjanina przystało.

W ostatniej chwili przypomniał sobie, że prezydent Loubet odrzucił jego podanie o łaskę — zdobył się więc na okrzyk:

— Prezydent Loubet niech żyje!

Savary, który został stracony w Montreuil - sur - Mer, przyjął uścisk księdza i, mimo krępujących więzów, uściskał kata oraz jego pomocników...

Anarchista Dawid, który zamordował dwie staruszki dla trzech franków i 75 centymów(!), przygotował w swej celi całe przemówienie i wybłagał u kata pozwolenie na wygłoszenie go przed tłumem.

— Oświadczam wam — powiedział u stóp gilotyny — że zostałem nawrócony — i że ani męka, ani śmierć, które mnie czekają, nie napawają mnie trwogą. Radzę młodzieży, aby na widok mego odstraszającego przykładu unikała złych znajomości i knajpy. Chrystus przebaczył mordercy i złodziejowi. Błagam więc was w Jego imieniu, abyście przebaczyli mi moje zbrodnie. A teraz — naprzód i — niech żyje Francja!

Morderca Moreaux rzekł do tłumu:

— Patrzcie — oto skutki grzesznego żywota!

Huntz, morderca z ulicy Berthe szeptał:

— Przebaczenia! przebaczenia!

Potwór w ludzkiem ciele, okrutny Menesclou prosił księdza:

— Niech ksiądz odda ten uścisk memu ojcu...

Jean Tapage, stracony w Wersalu:

— Oby moja męka stała się przykładem dla mych rówieśników!

Miał lat dwadzieścia...

Siedemnastoletni Ribot błagał kata:

— Pożegnaj pan matkę w mem imieniu...

Są jednak straceńcy, którzy nawet u stóp gilotyny nie zmieniają oblicza. Np. taki Fray, który spodziewał się ułaskawienia, krzyknął do Deiblera:

— Powiedz pan prezydentowi Republiki, że jest mordercą!

Lebier rzekł z gorzką ironją:

— Żegnajcie, ludzie!...

Campi cisnął jedno słowo:

— Łajdaki!

Alzatczyk Schinderkannes, który „przypalał" pięty zamożnych wieśniaków nadreńskich, zażądał uprzedniej próby ostrza.

— Pan wybaczy, panie kacie, ale nie mam wielkiego zaufania do tej maszynki. A teraz — dodał, widząc, iż ostrze spadło bez zatrzymania się — to co innego! Proszę, czyńcie swoją powinność.

W tej chwili wzrok jego padł na jakąś młodą kobietę, wychylającą się z okna:

— Trochę więcej na lewo, piękna pani — rzucił pod jej adresem — bo tutaj zasłaniają cały widok.

Gilles stracony w Caen, wykrzyknął:

— Boże! ileż tu durniów przyszło zobaczyć jednego człowieka!

I pokazał język tłumowi...

Niektórzy skazańcy filozofują nawet u stóp gilotyny, jak naprzykład doktór La Pommerays, truciciel pani de Paw, który, wpatrując się w brzask dnia, westchnął żałośnie:

— Jaka szkoda! Dzień zapowiadał się tak pięknie!

Niemiec Hintz:

— Ba! to było mi przeznaczone

Murzyn Rosaire:

— Raz kozie śmierć!

I jeszcze ten dziwaczny gest mordercy Crampona, który, wyjmując swe szklane oko, cisnął je katom, wołając:

— Oto wasza zapłata!

Gervais, stracony w Bois le Colombes, rzekł do oprawców:

— Wolnego, wolnego, moi ładni panowie — mnie śpieszy się jeszcze więcej, niż wam, łapiduchy!

Zdarzają się i tacy, którzy do ostatniej chwili zapewniają o swej niewinności — jak np. słynny morderca kobiet, Landru, który powtarzał bez przerwy:

— Niewinny! niewinny! niewinny!

Podobnie zaklinał się aptekarz Moreau, stracony w 1874 r. w Saint-Denis. I, jak się przekonano w kilka lat później — był rzeczywiście niewinny zarzucanej mu zbrodni...

De Leclerc, straszliwy bandyta lotaryński, odepchnął tradycyjny kieliszek wódki, podawany skazańcom:

— Chłop jestem! Nie potrzebuję być pod gazem, żeby spojrzeć odważnie w twarz Kostuchy!

Słynny morderca Avinain, skazany na śmierć, do ostatniej chwili nie przyznawał się do winy. Już po wyroku nagabywano go, by powiedział prawdę, obiecując wzamian ułaskawienie. Przyznał się nareszcie — lecz, wywiedziony w pole, wykrzyknął u stóp gilotyny:

— Francuzi! nie przyznawajcie się nigdy!

Lecz najoryginalniejszemi były słowa pewnego mordercy, który, skazany na śmierć, biadał nad losem swej rodziny, tracącej swego żywiciela. Dowiedziawszy się o tem, wytwórnia szelek Guyot'a zobowiązała się zapewnić rentę rodzinie mordercy wzamian za wzniesienie przezeń odpowiedniego okrzyku reklamowego. Skazaniec dotrzymał słowa i u stóp gilotyny krzyknął, zwracając się do oniemiałego ze zgrozy tłumu:

— A jednak najlepsze są szelki Guyot'a!

(p).

Skrzydlate olbrzymy


Niemiecki inż. Dornier konstruktor powietrznego okrętu na 120 pasażerów

Lotnictwo, w miarę swego szybkiego rozwoju, obrało ostatnio dwie drogi, któremi kroczą wysiłki konstruktorów.

Zarówno w lotnictwie wojskowem, jak i cywilnem powstają coraz to nowe typy płatowców lekkich, które przy niewielkim stosunkowo promieniu działania są obliczone na najwyższą szybkość i największą zwrotność. Fantastyczny rekord światowy szybkości — 512 kilometrów na godzinę, aż nadto dobitnie świadczy o wyniku pracy konstruktorów. Przeciętnie zaś wojskowe aparaty, jednoosobowe t .zw. „myśliwskie", przeznaczone do walki w powietrzu z powolnemi maszynami do bombardowania, osiągają przeciętnie chyżość 300 klm. na godzinę.

W zakresie lotnictwa sportowego coraz więcej się rozpowszechniają angielskie dwuosobowe aparaty Moth (Komar) de Havilland. Są to maszyny lekkie, zaopatrzone w 60-konny silnik Gipsy, stosunkowo tanie, kosztujące zaledwie 25.000 złotych, i wielce praktyczne w użyciu. Dzięki składanym skrzydłom samolot Moth może być lokowany w zwykłym garażu.

W samoloty Moth masowo zaopatrują się sportowcy angielscy. Nawet w Polsce mamy miłośników lotnictwa, nabywających na własność maszyny. Wystarczy wymienić chociażby hr. Skórzewskiego lub znanego malarza prof. Pruszkowskiego.

Niezależnie od tego konstruktorzy głowią się nad rozwiązaniem problematu dalekiej komunikacji płatowcowej. Nie ulega wątpliwości, że dalekie rajdy na jednomotorowych płatowcach zawsze pozostaną w sferze wyczynów sportowych, pozbawionych znaczenia komunikacyjnego. Aparaty dwu i wielomotorowe, mimo większego obciążenia i kosztu budowy, zdobywają coraz większe uznanie.

Pośród konstruktorów wielkich płatowców jednym z najbardziej owocnych jest francuz z pochodzenia Claud Dornier, pracujący we własnych zakładach w Friedrichshafen. Nie można go zaliczyć do konstruktorów szczęśliwych. Typ Dornier-Mercur, poruszany mocą jednego 650-konnego silnika po pamiętnej katastrofie, w której postradał życie były ambasador w St. Zjednoczonych Maltzahn, został zakwestjonowany i na dłuższy czas usunięty z linji komunikacyjnych.

Wodnopłatowiec „Dornier 16" z dwoma motorami użyty był do lotu transatlantyckiego przez lotników hiszpańskich. Los „Numantji", która wskutek defektu przez osiem dni tułała się po falach oceanu, nie wzmocnił opinji tego Dorniera.

Dornier „Superwal" zawiódł pokładane w nim nadzieje i zamiast preliminowanych 24 pasażerów zabiera zaledwie 12.

Obecnie zakłady Dornier ukończyły budowę nowego olbrzyma powietrznego, który śmiało może pretendować do tytułu największego wodnopłatowca świata.

Wodnopłatowiec metalowy „Do X" posiada wymiary naprawdę fantastyczne: długość kadłuba 48 metrów, rozpiętość skrzydeł 40 mtr., wysokość płatowca 10 mtr. Samolot jest poruszany mocą dwunastu silników łącznej mocy 6.300 koni i ma osiągać szybkość 250 klm. na godzinę.

Kabina „Do X" jest obliczona na 100 pasażerów, zaś łącznie z obsługą płatowiec będzie w stanie unieść 120 osób. Całkowite obciążenie płatowca sięgać będzie 22.000 kilogramów.

Takie są właściwości teoretyczne nowego wodnopłatowca, przeznaczonego do komunikacji transatlantyckiej. Czy jednak w praktyce nowy olbrzym powietrzny nie zawiedzie — jest to kwestja niedalekiej przyszłości.

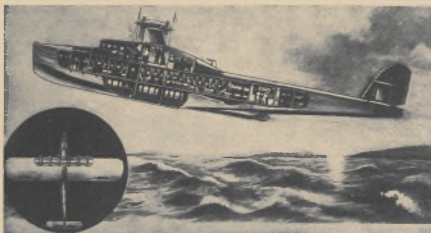
Nie jedni tylko niemcy mają inklinację do budowy dużych statków powietrznych, które niewątpliwie w przyszłości będą bardziej rozpowszechnionym środkiem lokomocji.

Niemcy, ograniczeni traktatem Wersalskim, z konieczności budują statki pasażerskie, licząc na to, że w razie potrzeby wystarczy kilku dni na zmilitaryzowanie silnie rozwiniętego przemysłu lotniczego. Inne państwa nie są w stanie łożyć olbrzymich kwot na lotnictwo komunikacyjne, natomiast wspierają przemysł lotniczy kosztem budżetów wojskowych.

Anglja obecnie masowo produkuje wielomotorowe płatowce, przeznaczone do bombardowania. Na ostatnich manewrach lotniczych Hendon samoloty te wykazały wielką sprawność i zdolność unoszenia wielkich ładunków.

Anglicy zwą te płatowce dreadnought'ami powietrznemi. Jest w tem duża przesada, jeśli płatowce te porównamy z olbrzymami powietrznymi, budowanemi obecnie w Italji. Caproni wykończa obecnie trzy prototypy płatowców do bombardowania o mocy silników 2.000, 3.000 i 6.000 koni.

i. k.


Przekrój samolotu pomysłu inż. Dornier, nazwany „Do — X" (Atlantic)

Gwiazdy filmowe na wywczasach

Ileż to razy każdy z nas będąc w kinie podziwiał swoje ulubione gwiazdy ekranu i zadrościł im ich pełnego czaru życia, toczącego się wśród wspaniałych miast, w cudownych jak z bajki apartamentach i pałacach.

Niejedna z pań westchnęła z zazdrością, oglądając kosztowne futra i suknie jak marzenie, noszone przez aktorki filmowe. Jakże cudownie musi im płynąć życie wśród nieustannych wrażeń, ciągłych zmian, bajecznych widoków no i... tysięcy dolarów.

A teraz odwrotna strona medalu. Denerwująca, pełna napięcia woli i mięśni praca, oślepiające światła jupiterów, ryk megafonu reżysera, niekrępującego się w doborze słów, męczące podróże, zabieganie o względy potentatów filmowych, obawa przed utratą posady, niejednokrotne niebezpieczeństwo życia przy nakręcaniu krew w żyłach mrożących scen, oto prawdziwy obraz tego tajemniczego, a tak przyciągającego świata.

Nic też dziwnego, że każda gwiazda filmowa wykorzystuje swój krótki urlop w sposób, którym ani przez chwilę nie przypominał wytwórni filmowej. Chociaż przez parę tygodni być takim samym człowiekiem jak i inni. Zapomnieć o wszystkiem i zająć się czynnościami prozaicznemi.

Zapomnieć o sztucznem świetle drewnianych i płóciennych dekoracyj, o blichtrze i szychu teatralnych kostjumów, o konwencjonalnym uśmiechu lub „robionej" rozpaczy.

Cisnąć w kąt szminki i kolorowe ołówki, ujrzeć znowu w lustrze zdrowy, naturalny rumieniec, błyszczące oczy nie pod wpływem atropiny, a od radości i pełni życia.

Marzenia, których my nie odczuwamy i odczuć nie potrafimy.

Załączone ilustracje odkrywają nam rąbek zasłony prywatnego życia aktorek ekranu. Niewymuszona prostota ich codziennych zajęć, ukazuje nam je takiemi, jakiemi są w rzeczywistości.



Piękna gwiazda filmowa chętnie wdziewa spodenki do robót w ogrodzie (Wide World).



Najulubieńszem zajęciem Marceliny Day, gwiazdy Metro-Julfilm, jest troska o pełne żołądeczki swych pupilów z kurnika.





Po wytężonej pracy w blaskach jupiterów, jakże przyjemną jest praca fizyczna w blaskach słońca. Zdanie to podzielają zgodnie Raquel Torres, namiętna hodowczyni strusi oraz Marceline Day i Josephine Dun, milutkie i rozkoszne murarki. (Metro Julfilm)



Anita Page uważa, że właściwem jej powołaniem jest... kopanie ziemi.





Skrzętna gospodyni musi sama o wszystkiem myśleć, kierując się zasadą, że „pańskie oko konia tuczy"... Poczciwy „Burek" będzie się mógł poszczycić pięknie wyszorowanym dachem swego domku, jak również „Łaciata" krówka nie będzie narzekać na pragnienie...

Bessie Love wyjeżdża na wakacje po kawalersku. Trochę bielizny w papierze, banjo i puder, oto wystarczający ekwipunek na letnie wyczasy. (Paramount).



Najodpowiedniejszym kostjumem na lato, jest kostjum kąpielowy. (The New-York Times).

Matematyczne anekdoty

Cyfrom i liczbom przypisywano w starożytności i średniowieczu tajemną symbolikę, wywierającą wpływ na świat i ludzi. Opierała się na nich astrologja, oraz nauki czarnoksięskie, wyklinane i zwalczane przez Kościół z całą bezwzględnością. Dzisiejsza jednak nauka zdarła romantyczną zasłonę, kryjącą za sobą liczby, oraz ich urojone właściwości i wykazała, że nie mają one nic wspólnego z życiem organicznem, ani ze zjawiskami kosmosu. Można jedynie przy pomocy liczb określać pewne stale powtarzające się perjodycznie zjawiska, oraz ustalać niektóre wielkości, w sposób skrócony i zrozumiały dla każdego laika.

Cyfry służą jednak nie tylko do suchych, naukowych, czynności, mogą również stać się źródłem pouczającej rozrywki, na co wskazuje kilka poniżej przytoczonych przykładów.

* * *

Pewien Arab miał trzech synów, między których postanowił rozdzielić swój majątek, stosownie do zajmowanych przez nich stanowisk społecznych. Majątek Araba stanowiło stado wielbłądów, liczące 17 sztuk. Otóż w testamencie rozdzielił wielbłądy w ten sposób, że jednemu z synów miało przypaść w udziale ½, drugiemu $^1/_3$ a trzeciemu $^1/_9$ część stada.

Po śmierci ojca synowie w żaden sposób nie potrafili wybrnąć z tarapatów obrachunku i wreszcie po długiej kłótni udali się po radę do sędziego. Sędzia ów, znany w całem mieście z wielkiej mądrości, rozwiązał przedstawione zagadnienie w bardzo dowcipny sposób. Polecił mianowicie braciom dopożyczyć jednego wielbłąda od sąsiada i dokonać podziału całego stada. Obrachunek poszedł bardzo łatwo: jeden z młodzieńców otrzymał 9, drugi 6, a trzeci 2 wielbłądy. Potem okazało się, że pozostał jeden, ten właśnie pożyczony, który nie przypadł nikomu w udziale, a którego zwrócono prawemu właścicielowi.

Rezultat wypadł na pozór paradoksalnie. Jeżeliby bowiem synowie chcieli podzielić swoje stado według życzenia ojca, to nie mogliby w żaden sposób uzyskać dzielnej, służącej do obrachunku, ponieważ wypadłaby ona w sposób następujący:

$\frac{1}{2} + \frac{1}{3} + \frac{1}{9} = \frac{17}{18}$ czyli $^1/_{18}$.

W rzeczywistości otrzymali synowie mniej, niż powinniby dostać: jeden o ½, drugi o $^1/_3$, a trzeci o $^1/_9$ wielbłąda.

* * *

Nowsza anekdota opowiada o pewnym żebraku, który zazdroszcząc ludziom bogatym, w ten sposób zaczął głośno użalać się nad swojem nieszczęściem.

— Cóżby to komu szkodziło, żeby pieniądze, które mam w kieszeni, zaczęły się co pewien czas podwajać. W ten sposób mógłbym w krótkim czasie być bogatym człowiekiem, uzyskać tytuł księcia i pędzić życie bez troski. Ale cóż! na pochyłe drzewo to nawet koza skacze! Nikt mi nie dopomoże, nawet sam djabeł.

— Głupstwa pleciesz, człowieku — odezwał się na to jakiś głos. Był to djabeł, który chętnie zjawia się nieproszony.

— Widzisz przed sobą ten mały drewniany mostek?

— Widzę — odparł przerażony żebrak.

— Przejdź przez most na drugą stronę, a wtedy zobaczysz, że pieniądze, które masz w kieszeni, podwoiły się. Wróć z powrotem na tę stronę i stwierdzisz to samo. Możesz sobie spacerować przez most ile razy tylko ci się podoba, a za każdym razem pieniądze w twojej kieszeni będą się podwajać. Jeden tylko stawiam warunek. Po każdorazowem przekroczeniu mostu wręczysz mi 24 centy.

— Ależ zgoda! wykrzyknął uradowany żebrak i szybko przebiegł na drugą stronę. Tam stwierdził z radością, że pieniędzy przybyło mu w dwójnasób. Skwapliwie wyliczył czartowi należną mu zapłatę i rozpoczął wędrówkę na nowo. Jednakże za trzecim razem stwierdził, że w sakiewce ma tylko 24 centy, które w myśl umowy musiał zapłacić djabłu! Ile wobec tego miał pieniędzy na początku?

Chcąc rozwiązać tę zagadkę trzeba rozpocząć rachunek od końca. Ponieważ pozostało mu tylko 24 centy, przy ostatnim przekroczeniu mostu musiał mieć ich 12. Jednakże wypłacił przedtem djabłu 24 centy, czyli przekraczając drugi raz most miał połowę 36 — 18 centów. Wobec tego za pierwszym razem miał 18 + 24 dzielone przez 2, to znaczy 21 centów.

* * *

Inny wypadek zdarzył się pewnemu rosyjskiemu chłopu, który przekonał się na własnej skórze, że lepiej kupić konia, aniżeli hacele do podków. Zdarzenie to miało miejsce na jarmarku gdzie ów chłop kupił konia od handlarza za 156 rubli. Wkrótce jednak chłop chciał zwrócić konia handlarzowi konia z powrotem. Ten jednak zaproponował chłopu następującą tranzakcję:

— Ofiaruję ci konia zadarmo pod warunkiem, że kupisz ode mnie hacele do jego podków. W każdej z jego czterech podków jest po 6 haceli, czyli razem 24. Otóż za pierwszy hacel zapłacisz mi ¼ grosza, za każdy zaś następny dwa razy więcej.

Chłop zgodził się radośnie na taki projekt i zaczął obliczać cenę haceli. Okazało się, że będzie musiał za nie zapłacić 40,943 ruble i trzy czwarte kopiejki. Rachunek ten astronomicznej dla chłopa cyfry przedstawiał się następująco: $1+2+2^2+2^3+2^4+$ i t. d.

W ten sposób podarunek handlarza stał się bardzo kosztowny i nie do przyjęcia.

*

W tego rodzaju figliki rachunkowe obfitują najrozmaitsze podania arabskie i perskie, przyczem każde z nich miało jakiś podkład moralny.

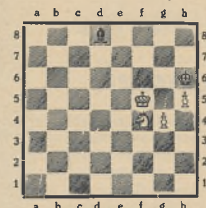
Pożyteczna ta rozrywka, przedstawia nam cyfry w bardziej dostępnej i ciekawszej formie, aniżeli pełne bajecznych niespodzianek formuły czarnoksięskie.



Według starej legendy początek znaków cyfrowych sięga czasów króla Salomona, który nosił na palcu pierścień z symbolicznym kwadratem z dwiema przekątnemi. W owym znaku symbolicznym mieściły się późniejsze cyfry od 1 — do 0. Rysunek powyższy ilustruje, w jaki sposób została rozwiązana symbolika znaku z pierścienia salomonowego

Rozrywki umysłowe

POZYCJA Z PARTJI.



Posunięcie na białe. Czy mogą one wygrać?

LOGOGRYF.

chew, cza, dor, dy, e, e, go, i, in, ir, kent, kac, lin, pa, pek, rie, ros, rys, rzą, ski, tasz, tek, tysz, wa, zie.

Z powyższych sylab ułożyć 11 wyrazów, których początkowe oraz końcowe litery, czytane z góry ku dołowi utworzą nazwiska dwóch słynnych sportmenów polskich.

Znaczenie słów.

1. B. minister spraw zagranicznych; 2. Farba; 3. Bóg grecki; 4. Miasto w Rosji. 5; Ptak drapieżny; 6. Rzeka w Rosji; 7. Jezioro w Ameryce; 8. Rodzaj dużej łyżki; 9 Roślina; 10. Znany pisarz czeski; 11. Znakomity historyk polski.

NAGRODY.

Za trafne rozwiązanie logogryfu przeznaczamy do rozlosowania nagrody w postaci 5 książek beletrystycznych. Termin do dn. 14 sierpnia.

STUDJUM Z Nru 25.

prostuje się jak następuje:

Pion biały stoi na h2 a nie na g3. Przy pozycji, podanej przez nas, partja zakończyłaby się nierozegraną.

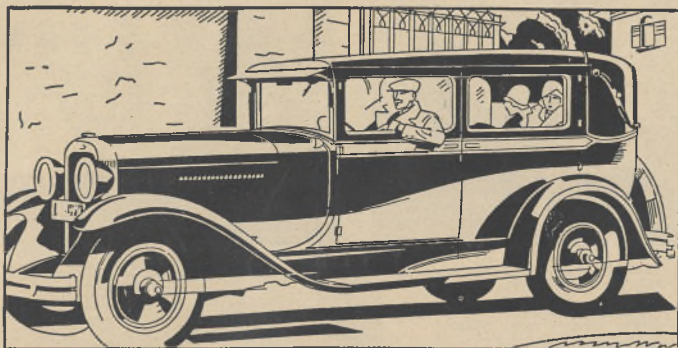
ROZWIĄZANIE ZADANIA „DOMYŚLNEGO FRANIA"

F. rzeczywiście niełatwo trafia na właściwą drogę do rozwiązania. Przecież Ant. może śmiać się z Felka i odwrotnie Ale wprowadzamy nowy punkt widzenia: *Franio nie dziwi się, że Antek się śmieje, gdyż* i t. d. Czyli wchodzi w grę czynnik zdziwienia. Franio nie dziwi się, ale nie uważa za wykluczone, że może dziwić się którykolwiek z jego towarzyszów, o ile będzie miał dostateczne powody do tego. A jakie mogłyby być powody zdziwienia. Właśnie wtedy o ile ja t. j. Franek nie miałbym nic namalowanego na czole to Antek np., który przecież nie wie, że ma coś namalowane na czole, mógłby się roześmiać z Felka, ale zarazem zdziwiłby się mocno, z czego Felek się śmieje, gdyż (jak rozumuje Franek) Antoś przypuszczałby, że Felek niema *żadnego* powodu do śmiechu bo sam on (Felek) też nie wie, że ma znak na czole). Ponieważ zaś Antek się nie dziwi, więc Franio przypuszcza, że i on (Franek) ma znak na czole, i że wskutek tego Antek właśnie istnienie tego znaku uważa za przyczynę śmiechu Felka. W zadaniu tem nie odgrywa roli okoliczność, czy wszyscy trzej młodzieńcy rozumują identycznie. Zadanie ma podkład psychologiczny, więc ważnem jest tylko, że Franek przypisuje kolegom sposób rozumowania oczywiście analogiczny do swojego własnego. Rozumowanie Franka musi być logiczne, więc nie można uwzględniać takich prymitywnych sposobów jak np.: ponieważ (?) B i C mają znaki na czole więc i A również. Uogólnienie takie nie jest niczem uzasadnione. Również nie wytrzymuje krytyki wnioskowanie oparte na niesłusznych podejrzeniach. B i C posądziliby A, gdyby on miał czoło niezamalowane.

Zadanie rozwiązali trafnie jedynie pp.: Zygmunt Ćwik z Warszawy, ul. Sto Jerska 14, Al. Rusinko, odres nieczytelny, Saturnin Jarmulski z Modlina. Ponieważ rozwiązali oni trafnie również i zadanie konikowe, otrzymują jako nagrodę po jednej książce beletrystycznej.

BILETY WIZYTOWE.

W pierwszym bilecie wizytowym „kwiatów" zamiast Inka powinno być Ina.



Oldsmobile od 32 lat przoduje wśród samochodów swej klasy

Zapewnia szybką, wygodną i oszczędną lokomocję

Oldsmobile pod względem wyglądu, szybkości, wytrzymałości i łatwości kierowania dorównuje znacznie droższym samochodom. Zaopatrzony w potężny sześcio-cylindrowy silnik i wszelkie najbardziej współczesne udoskonalenia techniczne, dostarcza on swemu kierowcy i pasażerom prawdziwą przyjemność podczas spacerów i długich podróży. Dzięki przystępnej cenie i łatwym warunkom płatności cieszy się wielką popularnością wśród najszerszego ogółu.

Wszelkich informacji udzieli najbliższe upoważnione zastępstwo.

Upoważnione Zastępstwa na całem terytorjum Polski i w Wolnem Mieście Gdańsku.

OLDSMOBILE

Wyrób General Motors

GENERAL MOTORS w POLSCE, WARSZAWA

W huraganie stepowym



Komfortowy hotel, rzucony w dalekich piaskach Algeru jest mile widziany przez strudzonych podróżników. (Atlantic)



Jarmark arabski niczem się nie różni od naszego. Ten sam tłum naiwnych nabywców, kupujących za drogie pieniądze wschodnie błahostki. (Wide World)

Pustynia!

Nieznana kraina tajemniczych cudów — miraży.

Puszcze Afryki, wspaniałe żywiołową potęgą huraganów i majestatem swej wielkości bezbrzeżnej.

Kto nie widział nigdy bezkresnych dali afrykańskich stepów, kto nie patrzał w martwe morza piasku, kto z wysokości nie spoglądał w potworne otchłanie złotego żwiru, wspartych kolumnami palm tylko — temu trudno będzie zrozumieć i odczuć egzotyczne, dzikie piękno pustyni.

Pustynie i puszcza Afryki! Otwierają nieznane rajskie dale! Budzą uczucie nieskończonej tęsknoty, dzikiej radości i wolności. Jakby wiatr stepowy zwiał z duszy wszystko co szare, codzienne, drobnostkowe...

A kiedy nagle za obszarami pustemi piasku otworzy oaza swe gościnne podwoje w cieniu palm, sykomor, cyprysów, to roztacza się pejzaż pełen biblijnej słodyczy, pogody, słońca. Rozciągają się łąki zielone z białemi puchami owieczek, zaciszne wioski, idylle przy studniach, sielanki w cieniu oliwek. Arabowie przy studniach napełniają amfory smukłe wodą, objuczają wielbłądy. Śniade, zręczne dziewczynki arabskie, jak żywe statuy kołysząc się, noszą na głowie dzbany. Czasem w pędzie dzikim, przeleci jakiś farys na koniu, zmąci spokój oazy i przepada w stepie...

Kiedy pod wieczór srebrny róg miesiąca zabłyśnie, jak znak wieczystego przymierza na niebie, to cicho przyklękają wielbłądy, Arabowie w półkolu klęczą, padając ku ziemi, biją pokłony — Allah, Allah, Allah... Pod firmamentem gwiazd płynie z ziemi ku niebu modlitwa, fanatyczna pieśń nad pieśniami wschodu.

— — — — — — — — — — — —

W pustynię Garian, w kraju Gebel, pędziliśmy trzema autami, mieszczącemi blisko 100 osób. Wycieczka, to w huraganie, to w deszczu lub słońcu, w wspaniałej dzikiej przyrodzie, dała jednak prócz podniosłych, całą sumę mniej miłych wrażeń. Przedewszystkiem, prawie wszyscy, licząc na upał, ubrali się lekko. A tymczasem już o szóstej rano, zgromadziwszy się przed hotelem w oczekiwaniu aut odczuwaliśmy przejmujące zimno. Zamiast upału i słońca dął huragan arktyjski. Zimno wichru stepowego przenika do kości. I w tym huraganie, tamującym oddech, przeszywającym, ostrym, mroźnym, pędziliśmy 6 godzin do Garian. Zdaje mi się, że po pewnym czasie straciłam przytomność, poczucie czasu, temperatury. A rozpętany huragan szalał ciągle, sypiąc w twarz ostrym piaskiem.

Deszcz lał, huragan giął palmy; słychać było szumiące wycie wichru. Auto pędziło serpentyną, pod górę z zawrotną szybkością. Trzeba mistrzostwa włoskich szoferów, by po tych szosach, ulepionych w piasku i glinie, skręcać, cofać się, piąć się w górę na 1000 metrów wysokości. Po sześciu godzinach tej szalonej jazdy byliśmy u celu — w Garian.

Wszyscy pobiegli do kasyna na obiad. Ja jednak miałam inną myśl, by uchronić się na drodze powrotnej od zimna. Pierwszego, którego spotkałam człowieka, t. j. oficera włoskiego poprosiłam, by mi odsprzedał derę lub firankę z okna. Lecz firanek nie było. W wiosce arabskiej też się wiele nie mogłam spodziewać, gdyż tu są jeszcze mieszkania „tryglolityczne", t. j. jaskiniowe, na kilka metrów pod ziemią. Oficer włoski zaprowadził mnie uprzejmie do jakiegoś sklepiku. Gdy arabowi wytłumaczyłam, że mi chodzi o ciepły ubiór — rozłożył przedemną, milcząc, szarawary czerwone, tureckie, złotem haftowaną żuawkę i rodzaj dolmana, szamerowanego srebrem. Na szczęście znalazł się jakiś zwyczajny ciepły szal, który kupiłam. Gdy wróciłam bardzo się mój pomysł podobał. „La Pollacca a sempre iniziative", orzeczono i wiele osób poszło za moim przykładem.

O zachodzie słońca uspokoił się huragan. Wieczór po burzy roztoczył najczarowniejsze zakątki oaz. Pędzimy przez rajskie krainy, żyzne, bujne, „mlekiem i miodem płynące", w złotych blaskach ginącego słońca. Oazy w winnicach, oliwkach, kaktusach ukryte, zachwycają oczy, jak żywe ogrody Allaha.

Już noc afrykańska granatem nieba ciemnym i złotem gwiazd zachwycająca, pogrążyła w cieniu, jak pod sklepieniem ogromnego namiotu wsie, oazy, pustynie.

Marja Wicherkiewiczowa.



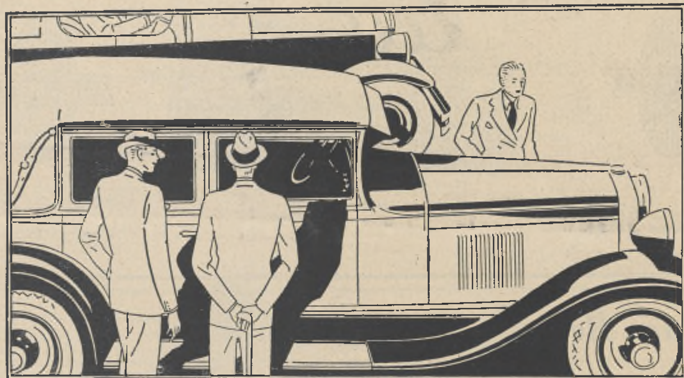
Dziecię arabskie



Piękny typ araba. (New York Times)



Szeik arabski ze swemi córkami. (Wide World).



Harmonijne połączenie silnej konstrukcji z wygodą

pięknej karoserji cechuje 6 cylindrowy Chevrolet

Nieoceniony dla celów turystycznych uderza smukłością wydłużonych linji i wytwornością wyglądu. Sport Cabriolet znakomicie nadaje się do zwiedzania najdalszych okolic Polski. Dzięki znakomitemu silnikowi, rozwija on znacznie większą szybkość niż dawniej i z łatwością przezwycięża największe terenowe trudności. Zdobywa wobec tego olbrzymią popularność w Polsce, jako samochód najbardziej nadający sie do warunków miejscowych. Wzmocniona konstrukcja oraz wszelkie inowacje techniczne jak pompka do benzyny, filtr powietrzny, pompka dla szybkiej akceleracji, mechaniczne hamulce na cztery koła i inne szczegóły, wręcz do ruchomego siedzenia kierowcy stawiają ten samochód na poziomie znacznie droższych, zbytkownych wozów. Przepiękna i wygodna karoserja dopełnia całości, dostępnej dla najszerszego ogółu, dzięki ułatwionym warunkom płatności w porozumieniu z najbliższem upoważnionem zastępstwem samochodów Chevrolet. *Wyrób General Motors.*

Upoważnione Zastępstwa na całem terytorjum Polski i w Wolnem Mieście Gdańsku.

CHEVROLET

GENERAL MOTORS w POLSCE, WARSZAWA

Otto de Beney

„SYMPATYCZNY AWANTURNIK".

W pierwszych dniach lipca zginął dzięki śmiertelnemu wypadkowi młody belg, Stefan-Noël Otto, zwany Otto de Beney.

Przez lat piętnaście przygody tego niebieskiego ptaka rozśmieszały całą Europę, zyskując mu pobłażliwy przydomek „sympatycznego awanturnika". Urodzony w 1899 r. w Liège, Otto de Beney był synem jednej ze statystek teatrzyku „La Renaissance". Jak utrzymywał, w żyłach jego płynęła „krew niebieska" — pretendował nawet do pokrewieństwa z jednym z domów panujących. Nie przeszkodziło to małemu de Beney już w dziesiątym roku życia pracować w charakterze chłopca do posyłek w kilku sklepach kolonjalnych. Nigdzie jednak nie zagrzał miejsca, wydalany za figle i psoty, zresztą zupełnie niewinnie.

Wybucha wielka wojna. Otto w mundurku skautowskim towarzyszy armji belgijskiej w odwrocie, przyczem niejednokrotnie składa dowody wielkiej odwagi. Przekrada się przez linje nieprzyjacielskie, przynosząc za każdym razem cenne wiadomości. Aresztowany podczas jednej z takich wycieczek, ucieka do swoich. W październiku 1914 r. bierze udział w walkach nad Yserą. Ranny w dłoń, zostaje odesłany do szpitala. Jakiś nieprzyjazny mu oficerek zamyka go w obozie koncentracyjnym w Ruchard, pod pozorem uzupełnienia wiadomości wojskowych młodego skauta.

Otto, oburzony, ucieka, lecz zostaje schwytany i stawiony przed sądem wojennym. Sędziowie wzruszeni jego bohaterstwem, przebaczają mu i spełniają marzenie piętnastolatka, pozwalając mu wstąpić do okrytego sławą 12-go pułku. Wszystkie pisma zamieszczają fotografje młodego zucha. Przedstawiają go królowej. Król odznacza go krzyżem wojennym. Następca tronu, arcyksiążę Leopold, zostaje jego przyjacielem. Zaszczyty i pochwały sypią się nań, jak z rogu obfitości...

Sława młodego Otto dociera do Paryża, gdzie piękna diva Gaby Deslys zostaje jego „mateczką chrzestną", a po wojnie—najczulszą opiekunką. Oszołomiony komplementami i pieszczotami, psuty przez całe otoczenie swej „mateczki", Otto traci głowę. Jest stałym gościem kulis i wielkich restauracyj, gdzie bogaci oficerowie amerykańscy rzucają tysiącami dolarów. Tymczasem stosunek z Gaby Deslys się rozluźnia. Dziewiętnastoletni Otto nie chce się jednak ograniczyć do skromnej renty, wypłacanej mu przez matkę, która w międzyczasie poślubiła jakiegoś bogatego anglika. Naoślep rzuca się w zawrotny wir życia, starając się za wszelką cenę utrzymać na powierzchni.


Otto de Beney.

Zmienia nazwiska, jak rękawiczki. Odgrywa kolejno rolę wyższego ficera belgijskiego, księcia de Tervueren, delegata królewskiego, księcia Karola, hrabiego Flandrji, (drugiego syna królewskiego), oficera francuskiego, kapitana Ashtona, komendanta krążownika angielskiego, sekretarza Trockiego, sekretarza gen. Wrangla, francuskiego porucznika d'Artagnan'a de Sabreuse, syna Maurycego Maeterlincka, a nawet znanego pisarza Piotra Benoit.

Przerzuca się z jednego miasta do drugiego, zwiedza kilka krajów europejskich, zapoznaje się z niejedną celą więzienną — lecz zawsze na krótko, gdyż przypadek lub czyjeś tajemnicze wpływy nanowo otwierają przed nim wrota wolności.

Najlepszy kawał udał się Beney'emu w okupowanej przez wojska aljantów Koblencji.

Przedstawiwszy się jako książę de Tervueren, delegat królewski, dokonał przeglądu garnizonu i uroczyście udekorował przed frontem generała amerykańskiego, Allen'a, zawieszając na jego piersi order Leopolda. Wypadało przy tej okazji odznaczyć również kilku niższych oficerów amerykańskich. Nie namyślając się długo, Beney, udekorował ich medalem... Belgijskiego Towarzystwa Spółdzielczego... Na wspaniałym bankiecie, wydanym przez garnizon na cześć „księcia-delegata", Beney nie stracił czasu, zaciągając na prawo i lewo grubsze pożyczki wśród odznaczonych oficerów. Dodać należy, iż Król Albert, dowiedziawszy się o tym nowym wybryku swego ulubieńca, uśmiał się serdecznie i zatwierdził wszystkie rozdane przezeń odznaczenia.

Bezpośrednio po tem wydarzeniu znajdujemy ślady Beney'a w Rosji, gdzie jakimś cudem został oficerem kozackim armji gen. Wrangla. Ewakuowany razem z tą armją do Konstantynopola, urządza straszliwą awanturę w haremie jakiegoś dostojnika tureckiego i wpada w łapy żandarmerji francuskiej. Podczas transportu do Francji ucieka i, zmyliwszy pogoń, udaje się w kierunku Belgji. Nanowo aresztowany, zostaje odesłany do szpitala, skąd ucieka po raz trzeci, niszcząc uprzednio wszystkie kompromitujące go akta sądowe.

W 1924-ym roku staje przed sądem wojennym. Grozi mu pięć lat więzienia. Odrzuca pomoc adwokata, wygłasza płomienne panegiryk na własną cześć i... zostaje skazany na 54 dni więzienia z zaliczeniem... 54-ech dni już odsiedzianych.

Bohater, awnturnik, kokainista, wydający po 400 franków dziennie na zaspokojenie swego straszliwego nałogu, Beney jest jednocześnie utalentowanym pamiętnikarzem i autorem oryginalnych poemacików partjotycznych i erotycznych. Jego „*Pamiętniki nowego Villona*", które ukazały się trzy miesiące temu na półkach księgarskich, zawierają na 358-u stronicach wiele interesujących przyczynków do psychologji „dziecka wojny", którego szkołą życia był front wojenny i kulisy teatrzyków paryskich.

Kto wie, jakie czekały go koleje, gdyby nie fatalny wpływ pięknej „mateczki" i jej lekkomyślnego otoczenia?...

(p.)

Dla obrony granic Rzeczypospolitej

Kiedy po bitwie pod Jeną generałowie składali Napoleonowi życzenia z powodu odniesionego zwycięstwa, wielki strategik odpowiedział: „Wygrałem wojnę nogami moich piechurów".

Podczas pobytu b. cesarza Niemiec, Wilhelma II na manewrach armji szwajcarskiej wywiązała się pomiędzy nim i prezydentem Związku Kantonów Szwajcarskich następująca pamiętna rozmowa:

— Ile Szwajcarja zdolną jest wystawić wojska? — spytał Wilhelm.

— 200.000 żołnierza — odparł prezydent.

— Wobec tego, gdybym wysłał armję złożoną z 400.000 żołnierzy, to zajęłaby ona całą Szwajcarję w ciągu paru dni.

— Mam wrażenie, że Wasza Cesarska Mość trochę sie myli, gdyż każdy z moich żołnierzy musiałby wystrzelić tylko dwa razy.

Pełne zrozumienia uznanie Boga wojny dla bohaterskiego żołnierza oraz dumna odpowiedź Szwajcara rozwiązują zasadniczo problemat przygotowania obywateli do obrony kraju.

Zdrowe nogi i pewny, celny strzał. Dwie cechy, które zdobią każdego żołnierza. Dwie zalety, bez których zwycięstwo jest niezrozumiałe. Dwie podstawowe nauki, które zajmują w wyszkoleniu żołnierskiem pierwszorzędną rolę. Armja, najlepiej wyposażona w środki techniczne, posiadająca najlepszych oficerów, ale nie umiejąca strzelać i maszerować jest zgóry skazana na klęskę. Cóż przyjdzie krajowi z tego, że jego armja przewyższa liczbą siły napastującego wroga, skoro nie może zdążyć na czas, na miejsce rozstrzygającej bitwy. Cóż przyjdzie armji z posiadania najprecyzyjniejszych karabinów, licznych szybkostrzelnych i dalekonośnych armat skoro nie umie trafić w przeciwnika.

Wojna światowa, która wystąpiła z całym okrutnym arsenałem najnowszych środków walki, przekonała sztaby generalne, że decydującym czynnikiem zwycięstwa jest szary piechur. Z głębi porytych pociskami armatniemi okopów, z pośród zasieków drutów kolczastych, wilczych dołów, na odcinkach gdzie zdało się, że wielogodzinny ogień huraganowy nie mógł zostawić żywego stworzenia, w dymach i oparach gazów trujących zjawiał się nagle mały szary piechur z karabinem w ręku jako jedyny czynnik zwycięstwa. Własnemi nogami zdobywał teren i własnym karabinem przepędzał wroga.

Słowa Napoleona i prezydenta Szwajcarji nabrały po ostatniej wojnie nowego znaczenia. Wojna, którą prowadziły nie dwie przeciwne sobie armje, ale dwa społeczeństwa wymaga obecnie odpowiedniego przygotowania całego społeczeństwa do poniesienia świadczeń wojennych. Okres służby obywatela w szeregach jest zbyt krótki i niewystarcza do wyrobienia zeń wszechstronnie wyszkolonego żołnierza. Dlatego też pewne czynniki społeczne wzięły na siebie ciężar doszkalania obywateli w cywilu. Jednym z najpotężniejszych środków służących do tego celu okazał się sport.

Wyrobienie płuc i serca racjonalnie trenowanemi biegami, rozwinięcie mięśni rąk i nóg przez rzuty i skoki w lekkiej atletyce, przyzwyczajenie do trudów marszu przez sport marszowy, wreszcie nauka strzelania przez sport strzelecki oto drogi, przygotowania obywateli do obrony kraju.



Pan Zdzisław Wąsowicz jeden z czołowych „pistoleciarzy" polskich. (fot. Walter).



Akt siły woli i charakteru. Drużyna 8 p. p. leg. na zeszłorocznym „Marszu Szlakiem Kadrówki" niosła swego drużynowego por. Wójcika z Miechowa do Kielc. Por. Wójcik skręcił sobie nogę w kostce. (fot. Walter).



Stolica Francja święci również dorocznie marsz „Paryż — Strassburg". Marsz ten jednak niema tego samego znaczenia co polski „Marsz Szlakiem Kadrówki". Podczas kiedy w Polsce zawodnicy idą w mundurach i z karabinem, trenując się w ten sposób do długich wyczerpujących marszów wojskowych, francuzi stają na starcie w lekkich kostjumach sportowych. (Wide World)

Sport marszowy i strzelecki, którego inicjatorem w Polsce jest Związek Strzelecki zaczął się ostatnio rozwijać z żywiołową siłą. W zimie czy w lecie, w dzień pogodny, czy w zawieruchę można spotkać na szosach i drogach drobne grupki młodzieży z karabinami na ramieniu maszerujące do jakiegoś oznaczonego z góry celu. Ten właśnie z góry oznaczony cel jest potężnym momentem wychowawczym. Przełamanie wszelkich trudności, przezwyciężenie ogarniającego znużenia, dotarcie do wyznaczonego punktu, to akt woli, który winien cechować każdego żołnierza-obywatela. Sport marszowy stał się w ten sposób nie tylko metodą wyrobienia wytrzymałości nóg na dalekich szlakach wojny, ale szkołą charakteru i wytrzymałości woli zmuszającej do nadmiernego i niecodziennego wysiłku.

Strzelectwo również zyskało sobie u nas szerokie prawo obywatelstwa. Dawne jarmarczne strzelania uprawiane ku zabawie, zastąpione zostało racjonalnie i poważnie traktowanym sportem. Niemożność dania do rąk obywatelom karabinu wojskowego, zmusiła do wprowadzenia jako broni treningowej i sportowej karbinków małokalibrowych, które co do precyzyjności uzyskiwanych wyników przewyższają znacznie broń wojskową. Nieliczne dotychczas szeregi zapaleńców strzelectwa zaczynają się coraz bardziej rozrastać. Wynikami osiągniętemi przez naszych czołowych strzelców możemy się niepowstydzić przed resztą Europy. Odgłosy strzałów, rozlegające się na coraz liczniej budowanych strzelnicach są świadectwem zrozumienia konieczności celnego strzelania. Władze wojskowe idąc na rękę temu odruchowi obywatelskiemu chętnie udzielają swoich strzelnic, oraz przydzielają broń i amunicję dla klubów i stowarzyszeń strzeleckich.

Idea obrony kraju, zawarta w programie prac sportowych przyświecać zaczyna coraz szerszym kołom społeczeństwa.

Jesteśmy obecnie w przededniu dwuch dorocznych egzaminów ze sportu strzeleckiego i marszowego. Dnia 4 sierpnia wyjeżdża do Stokholmu grupa strzelców biorących udział w Międzynarodowych Zawodach Strzeleckich.

6 sierpnia wyruszają z Krakowa do Kielc drużyny marszowe w trzydniowy bój o laur pierwszeństwa. Dwa te doroczne święta sportowe wykazują całoroczny dorobek jakościowy i ilościowy przyszłych żołnierzy Rzeczypospolitej. Dorobek ten jest naprawdę poważny. Tysiące młodych piechurów stających do szlachetnego współzawodnictwa to drogocenny materjał wyrabiający się na dzielnych obywateli-żołnierzy. Tysiące pewnych swej ręki i oka strzelców, to mur, o który będą się rozbijać wraże ataki skierowane na całość Państwa.

Liczba ich z roku na rok wzrosta. Pomnaża się szara armja uświadomionych żołnierzy - obywateli. Niechaj echa strzałów z polskich karabinów na Standzie w Sztokholmie, niechaj tupot tysięcy nóg przemierzających historyczny szlak z Krakowa do Kielc będzie ostrzeżeniem dla naszych wrogów, że społeczeństwo polskie jest przygotowane bronić swego kraju i że każdy z obywateli pomaszeruje do z góry oznaczonego celu — zwycięstwa.

Z. Grzybowsk.

ZA NAJLEPSZY TYTUŁ 1000 ZŁ. NAGRODY

Wydawnictwo „7 DNI" ogłaszając w druku poniższą, najnowszą i specjalnie dla nas napisaną powieść utalentowanego pisarza, p. Stanisława Strump-Wojtkiewicza, pozostawia P. T. Czytelnikom znalezienie do niej najodpowiedniejszego tytułu i w tym celu ogłasza odpowiedni konkurs z nagrodą 1000 zł. W skład sądu konkursowego wchodzą pp.: Juljan Eysmond, Juljusz German, Wacław Grubiński, Marjan Hemar, Tadeusz Kończyc, Jan Piotrowski, oraz autor tej powieści.

STRESZCZENIE POPRZEDNICH ROZDZIAŁÓW

Hala Liwska ukończyła pensję. Wypadkowe spotkanie i początek flirtu z Arturem Zaliwskim, otwierają przed nią nowe horyzonty. Nić romansu nawiązana. Wtem, niespodziewanie oświadcza się o Halę stary p. Woyno. Tego samego dnia — nowa „bomba" wybucha, bo oto kuzynek Staś, złapawszy Zaliwskiego, na gorącym uczynku pocałowania Hali, zdradza zachowaniem swem, że i on kocha dziewczynę, co jej zresztą nazajutrz wyznaje. Kochają ją... Papcio nalega, by Hala przyjęła propozycję Woyny. Hala coraz częściej przebywa w towarzystwie koleżanki Aliny, śmiałej i nowoczesnej panny. Młode panny odwiedzają dawną koleżankę, Molińską, która prosto z pensji wyszła w świat.., w półświatek. Po zerwaniu z Zaliwskim rozpoczyna flirt z nowym, młodym człowiekiem, aż wreszcie, zapoznawszy się z kłopotami finansowemi Zaliwskiego, pożycza od ojca większą kwotę pieniędzy, by móc go uratować. Zaliwski odnosi część pożyczonych pieniędzy. Znów powtarzają się dziwne konkury do Hali, w których jednak mowy niema o... miłości. Wiedziona instynktem Hala postanawia wyjechać i udaje się na wieś, do koleżanki Zośki, gdzie pierwszego już wieczora spotyka Reńskiego. Po kilku dniach pobytu, otrzymuje list z domu, pod wpływem którego postanawia wrócić na jeden dzień do Warszawy. Reński ofiarowuje jej swój samochód, w którym oboje wyruszają w podróż. W Warszawie rodzice robią Hali wymówki z powodu flirtu z Zaliwskim, a papcio dowiedziawszy się o konkurach Reńskiego oświadcza, że nigdy nie zgodzi się na to małżeństwo. Hala postanawia uciec z Czerniczek do domu. Niezatelegrafowawszy po konie Hala zwraca się do znajomego technika z pobliskiej gorzelni o pomoc. Ten korzystając z wieczora i padającego deszczu zamyka Halę na klucz w swoim pokoju i postanawia ją zdobyć. Hali udaje się wydostać z tarapatów. Ucieka pieszo do Czerniczek, gdzie po tych przejściach choruje. Zwierza się Zośce, która ją ostrzega przed Reńskim. Otrzymuje telegram wzywający ją do Warszawy. Na dworcu dowiaduje się, że Zaliwski został aresztowany i że może go ratować. Natychmiast udaje się do urzędu śledczego, gdzie spotyka się z Zaliwskim. Ten daje jej cały szereg poleceń do regulowania spraw finansowych, które natychmiast załatwia. Spotyka się z Reńskim, z którym jedzie na obiad do Konstancina. Ulegając namowom Reńskiego jedzie z nim do Molińskiej na dancing. Na drugi dzień spotyka się z Zaliwskim wypuszczonym w międzyczasie z więzienia. Zaliwski prosi o rękę Hali i zostaje przyjęty. Zaczyna się dla Hali okres narzeczeństwa. Po pewnym czasie następuje zerwanie i powrót do Reńskiego, który wreszcie porzuca Halę. Na widowni ukazuje się znów Zaliwski, który po kilku aferach pieniężnych ucieka zagranicę. Wyczytawszy to papcio dostaje ataku sercowego i umiera. Hala chce sobie odebrać życie.

(26

— I...nigdy?....

— Nie widziałam go i nie zobaczę. Nie wart jest poprostu uwagi. To motyl... był czas — że bardzo kochałam i cierpiałam —

Hala chwilę myślała i przypomniała: właśnie tak Zośka określiła Reńskiego: — to motyl.

— Zazdroszczę ci odwagi i szczęścia — Anno —

Teraz Hala zagłębiła się w myślach o sobie. Nie odważyła się na wyzwanie opinji i posiadanie dziecka. Paliła ją sama myśl, że dziecko przyszłoby na świat za prędko — w kilka miesięcy po ślubie, który miał być w lutym. Gdyby poczęła później — gdy już okazało się — że Zaliwski jest zwyczajnym oszustem i fałszerzem? Zostałaby z dzieckiem i bez męża — rzecz w świecie dla Hali najstraszniejsza. Nie udźwignęłaby hańby i wytykania palcami. Co dobre jest (czy dobre?) dla silnej, mającej swoje cele i swoje prace Anny — to byłoby niemożliwe dla słabej, potrzebującej opieki i kierunku — Hali. Lepiej — że tak się stało. Papcio by nie zniósł zresztą...

— Papcio i tak nie zniósł...

Nie było już tajemnicą, w jaki sposób pan Liwski poznał dzieje córki. Pamiętnego dnia otrzymał list od Zaliwskiego, który prosił o pieniądze i powoływał się na to, że de facto już jest zięciem. Papcio zniszczył list i dostał ataku. Później Zaliwski pisał o wszystkiem — już z więzienia — błagając o przebaczenie.

Hala otrząsnęła z siebie niemiłe myśli. Schodziła z Anną w dolinę, w coraz głębszy cień — po kilku godzinnym pobycie na łące, której dary niosły teraz z sobą, naręcze liljowych, czerwonych i białych leśnych kwiatów.

— Jaś się ucieszy! Jutro zabierzemy go z sobą. Wcale nie jest ciężki —

— Zostaw mi go — zaproponowała Hala — Niech pobędzie jeszcze ze mną. Będę bardzo uważała —

— Mówisz? kto wie — w Genewie będę bardzo zaorana — może rzeczywiście lepiej, żeby tu został —

Jaś został, gdy Anna pojechała ze swoimi memorjałami o podrzutkach budzić sumienie narodów, obradujących w Genewie. Dla Hali były to dni naprawdę szczęśliwe. Już od rana zaczynała się rozkosz mycia ubierania i karmienia Jasia. Potem był zwykle spacer, pełen pytań i odpowiedzi. Pytania Jasia padały jak grad. — A dokąd pojechała mamusia- — Do Genewy, Jasiu. — A co to jest Genewa? — To miasto. — A co to jest miasto? — To jest dużo domów — A co to jest dużo? —

— Dużo — to jest dużo — mówiła stropiona Hala.

— A widzisz — sama nie wiesz —

Albo znów. — Ty jesteś Hala? — Tak, Jasiu. — A skąd przyjechałaś? — Z Warszawy. — A poco? — żeby ciebie zobaczyć — A poco mnie zobaczyć? — Bo jesteś zabawny gaduła. — To ty tak daleko jedziesz, żeby zobaczyć gadułę? — Tak, mój Jasiu —

— To nie ma sensu — konkluduje Jaś — i rozpoczyna na nowo:

— A dlaczego twoje włoski się kręcą, a nie są proste? — Bo je podkręcam żelazkiem. — A poco podkręcasz? — Żeby były kręcone — A poco mają być kręcone? — Żeby było ładnie—

— Kiedy to wcale nie jest ładnie — mówił Jaś.

Tyranizuje Halę nieustannie: grozi, że wejdzie do strumienia, to chce skoczyć ze skały, to drażni się z olbrzymim czarnym psem gospodarzy, to nie chce jeść inaczej, jak siedząc na kolanach. Halę uszczęśliwia to wszystko: cała jej istota nie pragnęła oddawna niczego innego. Opiekować się takiem maleństwem i być na jego rozkazy — i kaprysy — oto prawdziwe życie!

Kiedyś Jaś zająknął się o tatusiu. Hala skierowała rozmowę na inny temat, ale Jaś nie pozwolił na to.

— Mam dopiero trzy lata — ale wiem — jak wyrosnę — to odnajdę tatusia — ty wiesz — on porzucił mamę — i powiem mu — co o tem myślę — tak prawdziwy mężczyzna nie robi — prawda?

Hala drgnęła.

Słowa „prawdziwy mężczyzna" w ustach nad wiek rozwiniętego malca obudziły niedobre wspomnienia. Przyjrzała się Jasiowi i myśl dziwna zaczęła w niej nurtować. Te usteczka — tak kształtne — nosek rasowy — postać cała — i coś specyficznego w ruchach — to wszystko może z czasem przekształcić się w ten wdzięk i czar męski, który Hali był znany aż nadto dobrze.

Sprecyzowała to nazajutrz, uważniej obserwując Jasia.

— Toż będzie z niego wykapany Reński — Teraz myśl poszła dalej. Czy panna, którą Reński wywiózł zagranicę — nie mogła być Anną? Działo się to cztery lata temu — potem do niej podobno jeździł — ale Anna mówi — że wyrzuciła z pamięci swego kochanka — a napewno kłamie — jest zbyt dumna i śmiała. Więc mogłoby być tak, że później Reńskiego podejrzewano niesłusznie o wyjazdy do owej panny— mógł poprostu jeździć na wywczasy i w interesach. Dlaczego papcio tak oburzył się i przeraził , kiedy wspomniała mu o Reńskim? Musiała to być głośna w Warszawie historja.

Tego wieczora Hala nieco goręcej uściskała Jasia na dobranoc i długo siedziała przy łóżeczku. Malec spał smacznie — Hali zaś roiło się — że jest mateczką — że tylko czekać, aż przyjdzie mąż i na palcach podejdzie do łóżeczka — obejmie żonę — i oboje pochylą się nad swojem maleństwem.... —

Przez całą noc śnił się Hali pan Ala.

Otrząsnęła się szybko z powracających wspomnień. Nie pozwoli sobie na zanurzenie się w fali, goniącej za nią z przeszłości — tak złej i okrutnej. Nowe życie — zupełnie nowe życie potrzebne było Hali.

Podczas następnego krótkiego pobytu Anny, Hala nie śmiała pytać .Natomiast wyspowiadała się jej sama ze swych skrupułów: oto kiedyś zacznie nowe życie — i trzeba się będzie tłomaczyć z tego co było —

— Przypuszczałam to — rzekła Anna, otaczając ją ramieniem — odrazu po twojem przybyciu zorjentowałam się, że nietylko śmierć ojca wpłynęły tak fatalnie na twoje zdrowie. Moja droga — wiem o kimś — kto ciebie kocha — temu będziesz musiała powiedzieć wszystko —

— To mnie porzuci —

— Nie sądzę — moja mała —

Hala zaczęła opowiadać i — nie zdołała powiedzieć prawdy. Przytoczyła w ostatniej chwili epizod, który zdarzył się z technikiem gorzelnicym w Niechcicach — i nadała temu epizodowi fatalne zakończenie —

Anna pomilczała. Hala trwała ze spuszczonemi oczami.

— Głupstwo Halu — myślałam, że zdarzyło się coś o wiele poważniejszego — to zaś nie odstręczyłoby mężczyzny, który kocha prawdziwie —

— A któż mnie może kochać —

— Kocha cię — mój brat — wolno odpowiedziała Anna Steyr — mówił mi o tem. Przerażało go twoje narzeczeństwo z Zaliwskim — i twoja znajomość... z Reńskim — twarz Anny z lekka pociemniała.

— Postaraj się go pokochać i dać mu szczęście — Halu — dodała i nachyliła się do Hali.

— Czy możesz dać mi słowo honoru — Halu — że to, co mówiłaś jest całą twoją historją?

Hala milcząc pochyliła głowę. Anna zapaliła papierosa i szybko chodziła po pokoju.

— Widzisz — on jeden mi pozostał. Rodziców straciliśmy w Rosji. Chciałabym — żeby stał się szczęśliwym — bo dość już przeszedł z mojego powodu —

— Z twojego powodu — Anno?

— No tak — przecie wiedział o wszystkiem— Biedny — biedny Steyr — przeniósł tyle— co papcio! Mężczyźni są tak ogromnie czuli na punkcie honoru sióstr i córek. Przy pożegnaniu Hala odważyła się na postawienie pytania drażliwego.

— Anno — powiedz mi jeszcze — czy — gdybym spotkała twojego brata....

— Ma tu przyjechać do ciebie, Halu — wiem o tem —

— No więc... czy mogę mu powiedzieć — że kochałam — że kochałam kiedyś.... Reńskiego —

Były już na górskiej stacyjce i czekały na pociąg. Anna przy słowach Hali pobladła.

— Właściwie — nie wolno ci o tem mówić — a musisz powiedzieć. Ja nie wiem — ja sama nie wiem — odnowi to w nim wszystkie dawne cierpienia —

Z tunelu wypadł pociąg. Anna ucałowała Halę.

— Są to fatalne zbiegi okoliczności — powiedziała jeszcze.

Za chwilę wyjrzał z okna wagonu Jaś, chusteczką powiewał na pożegnanie Hali, która wolno — jakby złamana — wracała krótszemi ścieżkami do wsi.

Wiedziała już właściwie wszystko. Annę — tak samo jak i ją uwiódł Reński. Alina i Zośka — Hala i Anna — i jeszcze zapewne tuzin — lub więcej. Jezus Marja — cóż on wyrabia — cóż on wyrabia — że na każdym kroku spotyka się kobiety, za któremi gonił — niczem — niczem — ów technik z Niechcic. Cóż za obrzydliwość — poświęcać życie temu... wątpliwemu sportowi. I zostawiać po sobie tragedje i same nieszczęścia. Ach — właściwie — nic innego go nie powinno spotkać — tylko kara — wielka kara —

— Gdybym była na miejscu takiego Steyra— to bez wahania.„ Hala nie śmiała dokończyć śmiałej myśli.

Zaczęło się kompletne osamotnienie. Rzadko przychodziły listy z kraju — i Hali było dobrze czuć się tak daleko od Warszawy — i tak maleńką wobec olbrzymich gór. Turyści znikli z wioski, która zaczęła żyć swojem własnem życiem. Nadeszły jesienne wichry i zawieruchy. Z dalekich, ośnieżonych szczytów coraz niżej spełzały śniegi i coraz chłodniejsze szły powiewy. Z brzękiem tysiąca dzwoneczków gromadziły się stada, sprowadzane z odległych hal; rwące jesienne wody szumiały nieprzerwany śpiew; za szybami leciały roje żółtych obumarłych liści. Jeszcze przyszły jasne, ciche, słoneczne tygodnie ostatnich jesiennych spacerów; potem przyszły znów szarugi — i noce wichrowe.

Głęboka dolina była jakby odcięta od świata. Gdzieś — wysoko — wiaduktami z kamienia — biegły drobne światełka pociągów, przystających przed niewidzialnemi stacyjkami i znikających w czeluściach długich tunelów. Wicher tłumił wszystkie głosy i echa. Nad doliną zawisały lub pędziły gęste obłoki i poszarpane w strzępy mgły. Oślizgłe mostki przez rzekę i strumienie były coraz trudniejsze do przebycia; drogi i ścieżki pokryły się błotem; werandę oddzielono od pokojów na stałe.

Hala wiele czytała. Wśród książek znalazła się historja małżeństwa młodej panny ze starym panem. Mimo dużej różnicy wieku małżeństwo okazało się najszczęśliwszem i autor to podkreślał. — To tak — jakbym ja wyszła za Woynę — myślała Hala — napewno byłabym bardzo — bardzo szczęśliwa — ani on nie byłby zły dla mnie— ani ja nie zawiodłabym jego zaufania —

Kto wie — może papcio miał rację? Napewno miał ją: trzeba było go słuchać — byłoby się teraz panią Woynową. Jakiż on dobry i szlachetny w gruncie rzeczy —

— Zresztą — może to nic straconego? Może ja jeszcze wyjdę za mąż za niego — myślała Hala. —

Byłoby to jednak już niemożliwe. Wkrótce nadszedł list od pani Liwskiej, która donosiła, że Woyno — umarł.

Hala popłakała się — i zawstydziła swoich myśli.

Znienacka wszystko się zmieniło w dolinie. Pewnego ranka wpadły do pokoju jaskrawe, białe refleksy. Hala podbiegła do okna — wokoło był czysty, biały, lśniący śnieg. Cała wioska wyległa na ulicę. Wiejskie kobiety witały przyjaźnie Halę: znały się już dobrze z widzenia. Teraz z ożywieniem omawiały ceny, jakie wyznaczą dla gości zimowych. Już gdzieś zjawiły się saneczki. Listonosz zajechał na nartach, choć śniegu było nie wiele i był jeszcze za mokry.

Prawdziwa zima przyniosła nowe radości i roskosze. Gorączka ustąpiła, Hala mogła teraz jeździć na łyżwach, nartach, saneczkach bez obawy zmęczenia. Wraz z zimą poczuła jakby nowy przypływ energji i sił. Już nie mogła się doczekać chwili wyjazdu. Zaczynało [illegible] ludzi, ruchu, tak jak niedawno brakowało ciszy i spokoju.

Do Steyra miała Hala niemal pretensję. Miał przyjechać — i nie przyjeżdża. Widocznie Anna odwiodła go od tego zamiaru. Szkoda — przydałby się na tem pustkowiu. Przecież nie jest powiedziane, żeby mu od razu wieszała się na szyji.

— Mam już dość tych — romansów i nie będę się kochała nigdy w życiu — chyba — żeby —

A Steyr podobno ją kocha? E — tak po męsku —

Zjawili się narciarze. Hala poznała kilku anglików i kilku niemców, zjeżdżających tu corocznie. Przepowiadali wioseczce niezwykłą karjerę, z powodu wspaniałych terenów narciarskich. Zresztą każda niemal miejscowość szwajcarska ma wysokie ambicje.

Na odskoczni był wielki ruch. Hala godzinami wysiadywała na składanem krzesełku i obserwowała lotne skoki narciarzy. Przepiękny najprawdziwszy sport: ruch, czyste powietrze gór, niebezpieczeństwo i lot. Gdziekolwiek rzuci się okiem: twarze jędrne, rumiane, tryskające wesołością i zdrowiem — nie takie — jak w Warszawie.

Hala odważyła się znów na długi zjazd, zakończony nieudaną „chrystjanją" i powoli wracała do swego krzesełka, obserwując przelatujących narciarzy. Usiadła i ostro zakończonym drążkiem pisała machinalnie po śniegu.

— Dzień dobry pani — rzekł ktoś po polsku. —

Hala odwróciła się i zerwała zmiejsca: stał przed nią Steyr.

— Włożyłem narty i przybiegłem za panią! Powiedziano mi, że pani ma czerwoną czapeczkę i znalazłem oto — samotnicę.

Hala podała mu rękę.

— Jakże dawno nie widzieliśmy się — Anna mi mówiła, że pan —

Steyr patrzył uważnie w śnieg.

— że pan przyjedzie mnie odwiedzić. To bardzo miło z pańskiej strony! Czy pan wraca do kraju? —

— Wracam właśnie i jeśli pani pozwoli, zaopiekuję się panią w drodze — mówił wciąż zapatrzony — nie w Halę — lecz w śnieg.

Hala niemal rozgniewała się. Dziwny jest ten Steyr! Przyjechał i mówi jakby z łaski. A może wogóle nie chce z nią rozmawiać? Ładnie kocha!

— Pan jeździ dobrze? bo ja dopiero zaczynam — a czy Anna zdrowa? — Widział się pan z nią? No — proszę pana — czemu pan nic nie mówi —

Mimowoli poszła wzrokiem za jego oczami, które wciąż wypatrywała coś w śniegu. Na razie nie mogąc się zorjentować, Hala nagle poczerwieniała. Oto śnieg naokoło krzesełka — w promieniu kilku metrów zapisany był nazwiskiem: „Steyr".

(D. c. n.).

Co słychać na świecie?

Francja przeżywa od pewnego czasu chwile ciężkie. Przyczynia się do tego w pierwszym rzędzie sprawa ustawy ratyfikacyjnej z Stanami Zjednoczonemi, powtóre zaś wyraźny zwrot filoniemiecki ze strony Anglji, po dojściu do władzy gabinetu Mac Donalda.

W pojęciu Francuza „zwycięscy", nie może pomieścić się fakt płacenia długów wojennych. Francuzi nie chcą zrozumieć konieczności wywiązania się ze swoich zobowiązań finansowych, jakie zaciągnęli w Ameryce, głównie dlatego, że „skoro Niemcy zostały pobite — niechaj Niemcy płacą". Takie hasło, idące we Francji z ust do ust, nie było słuszne, przynajmniej w całej swojej osnowie. Mianowicie w układzie Mellon-Beranger Stany Zjednoczone zrezygnowały ze wszystkich zobowiązań finansowych, zaciągniętych przez Francuzów podczas wielkiej wojny, przyczem jednak pozostały do uregulowania przez Francję wszystkie te zobowiązania, które Francuzi zaciągnęli w Ameryce już po zawieszeniu broni. Tego rodzaju ujęcie sprawy należało uważać za wielki sukces Francuzów i to tem więcej, że zobowiązania te zostały rozłożone na wiele dogodnych spłat.

Niemniej jednak, skoro raz na ulicy zabrzmiało hasło „nie płacić" — to już temsamem miało ono za sobą pewną siłę. Gdy zaś w dodatku zostało poparte głosami półtoramiljonowej rzeszy inwalidów i kombatantów wojennych, demonstrujących przeciwko ratyfikacji powyżej wspomnianego układu ze Stanami — było już potęgą i trzeba było niebylejakiej indywidualności, by jednak ratyfikację przeprowadzić. Dokonał tego Poincaré. Ustawa ratyfikacyjna przeszła większością zaledwo kilku głosów, po czterech kolejnych, pełnych posiedzeniach parlamentu — ale przeszła. Poincaré przypłacił przeprowadzenie ustawy ciężką chorobą i wskutek tego dymisją, ale z punktu widzenia realnych korzyści Francja wygrała.

*

Po dojściu do władzy Mac Donalda nastąpił pewien dysonans pomiędzy Francją a Anglją. Pominąwszy bowiem sympatje filoniemieckie, jakie cechują przywódcę Labourzystów, a które musiały wnieść zgrzyt pomiędzy oboma omawianymi rządami, — nie należy zapominać, że wraz z premjerem, zmieniła się w Anglji partja, podczas gdy we Francji pozostało wszystko po staremu. To była druga trudność, którą miał Poincaré do pokonania, gdyż zanadto zżył się z poprzednim gabinetem konserwatywnym, by mógł odrazu współpracować z Labourem. Dlategoż drugie zwycięstwo Francji polega na tem, iż chociaż walory Poincarego są niezaprzeczone, to jednak lepiej będzie dla interesów francuskich, gdy obecnie obejmie obowiązki premjera Briand, stary polityk i wytrawny mąż stanu, który jednak bez żadnych „uprzedzeń" będzie mógł rozpocząć „świeżą" politykę z Labour Party.

*

Wraz z Briandem wejdzie z pewnością na stół sprawa „Stanów Zjednoczonych Europy". Sprawa ta uważana jest przez wszystkich nieomal za mrzonkę. Ponieważ jednakowoż żyjemy dzisiaj w czasach, gdy najśmielsze nawet mrzonki są na najlepszej drodze do ich realizacji, lub nawet już się zrealizowały, musimy siłą rzeczy brać i tę sprawę zupełnie poważnie. Jak na razie, milczenie ze strony miarodajnych sfer polskich nie pozwala nam na stwierdzenie korzyści i ujemnych stron płynących z eksperymentu, zainicjonowanego przez Brianda.

*

Rzeczą powszechnie dzisiaj wiadomą jest fakt, że od czasu ujęcia steru rządów przez bolszewików spadła w bardzo poważnym stopniu wydajność i dyscyplina pracy robotnika rosyjskiego. Podobne znamiona możemy obserwować u robotnika angielskiego. Dawano „kreski" na Mac Donalda podczas wyborów, ponieważ obiecał robotnikom podwyżkę płac, względnie zmniejszenie ilości godzin dnia roboczego. Dotychczas nie dotrzymał przyrzeczenia i stąd rozgoryczenie i demonstracje robotników węglowych. Mac Donald znajduje się w sytuacji nie do pozazdroszczenia, gdyż obniżenie godzin pracy godziłoby poważnie w angielski przemysł węglowy. Sytuacja na tem tle staje się dosyć niewyraźna. Specjalnie w tym sporze jest Polska zainteresowana, chociażby ze względu na konkurencję węglową ze strony Anglji. Obecnie możemy sobie jedynie powiedzieć, że im więcej spór pomiędzy rządem a robotnikiem węglowym będzie się zaostrzał, tem większe mamy szanse do rozszerzenia naszych węglowych rynków zbytu. Dla mas robotniczych jednak niech położenie robotników w Sowietach i niezadowolenie robotników angielskich będzie wskazówką, że oddanie rządów w ręce przedstawicieli partji robotniczej nie jest bynajmniej równoznaczne ze stworzeniem dla robotnika raju na ziemi

Ja...ei.

HUMOR



„Proszę jechać szybko na dworzec! Pociąg mój odchodzi za sześć minut!"

DOBRY SEN

Podróżny zastaje w nocy innego podróżnego przed bramą hotelu.

— Proszę pana, czy się dobrze sypia w tym hotelu?

— Znakomicie! Dzwonię już od godziny, a nikt mi nie otwiera.

MĄDRY LEKARZ

— Lekarz zabronił pani Marji zajmować się kuchnią.

— Przez wzgląd na jej zdrowie?

— Nie, ale na zdrowie jej męża...

MATEMATYK

Biuralista do swego szefa: — Dziesięć razy zsumowałem te pozycje...

— Bardzo dobrze, młodzieńcze, bardzo dobrze.

— A oto dziesięć różnych rezultatów...

PUNKT WIDZENIA

— Ach! te samochody! co za klęska!

— Wczoraj byłeś innego zdania.

— Tak, ale wczoraj to ja siedziałem w samochodzie...

MIŁOŚĆ.

— Przyznaj się, że wolałabyś, żebym umarł, niż był szczęśliwy bez ciebie?

— No tak! Przecież cię kocham...

ROSTARGNIONY

— Widzisz, żonusiu, że czynię postępy. Wracam z parasolem do domu!

— To jest tem bardziej nadzwyczajne, że wyszedłeś z laską w ręku...

UWAGI NA CZASIE.

Prąd współczesnej wiedzy dąży do zwolnienia ludzkości od szkodliwego *szablonu leczenia* chorób oraz pielęgnowania urody. Niechaj zatem i ci, którzy do wsi lub w góry wyjeżdżają, zasięgną porady swego lekarza w kierunku trybu życia, słonecznych i rzecznych kąpieli, diety i t. d. Zarówno ostrzegam przed bezkrytycznym doborem balastu różnorodnych bezcelowych a zbyt często szkodliwych preparatów kosmetycznych. Wyjeżdżając na wieś, wystarcza zabrać ze sobą te higjeniczne środki do pielęgnowania urody, których wymagają: *indywidualne* potrzeby i zwiększona ciepłota pory letniej. A zatem przedewszystkiem kilka torebek *Shampoonu Dra Lustra*, następnie do pielęgnowania tłustej cery: *proszek marmurowy „Miraculum"*, odtłuszczający *puder higjeniczny Dra Lustra* i flaszeczkę roztworu wody borowej ze spirytusem, po równych częściach. Dla prawidłowej i suchej cery polecam *krem „Mira" Dra Lustra*, tudzież z jego przepisu otrąbki migdałowe i puder *egzotyczny*. Wystrzegać się naświetlania włosów i twarzy słońcem oraz odtłuszczania włosów pudrem.

Dr. Z. B.

Katar w lipcu

Wczoraj rano zaczęło się! Obudziłem się z takiem uczuciem, jak gdybym miał w głowie żarzące węgle, a w oczach iskry. Czułem się okropnie źle, a gdy zastanawiałem się, czy dać się pochować na cmentarzu, czy lepiej spalić w krematorjum, kichałem tak zawzięcie, że aż ściany się trzęsły!

W jaki sposób nabawiłem się tej przyjemności, nie wiem; moja żona utrzymuje, że chociaż jest lato — lipiec, ale przy takich chłodach należy nosić wełnianą bieliznę. Wszak radziła mi tak uczynić, — nie usłuchałem się! A teraz muszę cierpieć! Kobieta wogóle nie jest zdolna współczuć, — cóż dopiero własna żona...

„Tak, tak, wszyscy mężczyźni są jednakowi. Jak cię tylko coś boli — zaraz myślisz, że umierasz! Czemu nie jesteś taki, jak ja, wytrzymały? Mój Boże, często chwieję się na nogach z osłabienia, a jednak wlokę się dalej!"

Już rano w biurze, zacząłem kichać. „Oh", rzekł mój buchalter, „pan się przeziębił?"

Nienawidzę ludzi, którzy zadają podobne, głupie pytania. Czyżbym może kichał dla przyjemności?

„Znam świetny środek na przeziębienie", ciągnął dalej buchalter. „Proszę spróbować tabletki mentolowe, — są znakomite i tak pobudzają do potów, że niedźwiedź polarny, po zażyciu jednej pigułki, musiałby zrzucić ze siebie futro"...

Chciałem go utłuc linją. Ale wówczas nie miałem jeszcze pojęcia o tem, co mnie czeka. Każdy znajomy radził mi coś innego.

Gdy wieczorem wróciłem do domu, zastałem swoją teściową. Ta dobra, zacna dusza, kazała mi przynieść butelkę wzmacniającego wina, — własnego wyrobu, i twierdziła, że to mnie natychmiast uzdrowi.

W jaki sposób wino mogłoby mi pomóc — nie wiem do dnia dzisiejszego, a posługaczka, która przyniosła butelkę, zapytywała, czy już próbowałem jeść surową cebulę? Podobno niezawodny środek.

Kazałem więc dać sobie surową cebulę oraz wszystkie środki jakie mi zalecano w ciągu dnia i położyłem się do łóżka. Szyję obwiązałem starą wełnianą pończochą i... zacząłem kichać jeszcze silniej. Myślałem sobie: „No, pokażę ja temu przeziębieniu" i zacząłem od połknięcia kilku mentolowych pigułek, które popiłem konjakiem. Dla osłabienia alkoholu — wypiłem szklankę lemonjady. Zdawałem sobie, bowiem, sprawę, że się na dobre rozchoruję, jeśli nie będę się dalej leczył. Wypiłem więc jeszcze trochę olejku kamforowego. Objaśniono mnie atoli później, że powinienem był się tym olejkiem tylko natrzeć. Potem, westchnąwszy głęboko wypiłem wino od teściowej, które miało smak tranu z arszenikiem.

Wszystko to jednak razem nie uleczyło mnie. Przeziębienie nie ustąpiło; przeciwnie rozszerzyło i przeniosło się do piersi. Zacząłem kaszleć, i to tak strasznie, że w nocy zrzuciłem z łóżka całą pościel i wskutek tego przeziębiłem się jeszcze więcej.

Na drugi dzień byłem tak osłabiony, że nie mogłe nawet dźwignąć głowy z poduszki. Lekarza obawiałem się wzywać, gdyż ten byłby w jednej chwili poznał jakie przyjąłem leki i byłby mnie oskarżył o usiłowanie dokonania samobójstwa.

Po południu, żona nałożyła mi na piersi okład z musztardy, utrzymując, że „wszystko wyciągnie". Zdaje się, że ten okład wyciągnął mnie z łóżka, bo gdy się obudziłem po krótkiej drzemce, leżałem na podłodze.

Pod wieczór przyszedł sąsiad. „Słyszałem, że się pan przeziębił. Przyjacielu, czy próbował już pan?"...

Że sąsiad jeszcze do dziś dnia żyje, zawdzięcza to tylko mojemu nieludzkiemu osłabieniu".

Ostatni środek, do którego się uciekłem, była autosugestja. Powtarzałem sobie bezustannie: „Nie jestem wcale przeziębiony". To była czynność bardzo natężająca, gdyż głos miałem ochrypnięty.

A w głowie mi huczało, jak gdyby mi ktoś młotem walił, naprzemian ciągle kichałem i kaszlałem. Trwało to dość długo.

Jednego tylko nie próbowałem. Czytałem raz w jakiejś starej księdze o bardzo dobrym środku, zalecanym przez czarownice, który zarazem ma siłę pobudzania młodej dziewczyny do miłości.

„Ugotuj na miękko czerwoną żmiję i odlej tłuszcz. Daj mu się odstać na galaretkę. Potnij galaretkę na cienkie plastry i połykaj podczas ostatniej kwadry miesiąca przy blasku księżyca".

Tego środka nie spróbowałem, bowiem nie mogłem znaleźć czerwonej żmiji.

(Tł. Miecz. S-ny).

SIEDEM DNI NASZEGO CZYTELNIKA

KALENDARZYK TYGODNIOWY

4 N Dominika.
5 P N.M.P. Śnieżnej.
6 W Przem. Pańskie.
7 Ś Kajetana.
8 C Cyrjaka.
9 P Romana.
10 S Wawrzyńca.

KALENDARZYK ASTRONOMICZNY

Słońce w.	Słońce z.	Księżyc w.	Księżyc z.
4.1	19.25	2.31	20.6
4.3	19.23	4.5	20.33
4.4	19.21	5.38	20.52
4.6	19.19	7.7	21.7
4.7	19.17	8.33	21.21
4.9	19.15	9.53	21.33
4.10	19 13	11.12	21.46

KALENDARZYK HISTORYCZNY

8 sierpnia 1621 r. — początek pierwszej wojny chocimskiej.

KALENDARZYK SPORTOWY

3 — 5 sierpnia. — Pływackie mistrzostwa Polski na pływalni P.Z.P. w Warszawie.

3 — 4 sierpnia. — Bieg kolarski Gdynia — Poznań.

4 sierpnia. — Bieg kolarski dookoła Polski.

4 sierpnia. — Mecz lekkoatletyczny Polska — Węgry w Budapeszcie.

6 — 8 sierpnia — Marsz Szlakiem Kadrówki na trasie Kraków — Kielce.

7 — 18 sierpnia — Międzynarod. Zawody Strzeleckie w Sztokholmie.

PIERWSZY W POLSCE KONGRES MUZYCZNO LITURGICZNY.

W dniach 3, 4 i 5 września r. b. odbędzie się w Poznaniu z racji P.W.K. pierwszy ogólno - polski kongres muzyczno - liturgiczny, z udziałem ks. kardynała Kakowskiego, arcybiskupów, biskupów i całym szeregiem dostojników kościelnych. W kongresie weźmie udział 1200 osób. Protektorat nad zjazdem objął Jego Eminencja ks. Kardynał Prymas Polski Hlond.

Otwarcie kongresu nastąpi dnia 3 września o godz. 9-tej rano w westybulu reprezentacyjnym P.W.K.; obrady toczyć się będą w sali posiedzeń restauracji Boulevard.

TEATR

NARODOWY:

1 b. m. Adwokat i Róże. od 2 b. m. do 8 b. m. Wieczór ku czci W. Bogusławskiego. ewent. 6, 7 i 8 „Grube Ryby".

LETNI:

codziennie „Gorączka Nafty".

MAŁY:

codziennie „Para nie para" Z. Kaweckiego.

RADJO - OGRÓD PHILIPSA (Mazowiecka 9)

codziennie prócz poniedziałków Koncert - Dancing od godź. 17—22.

MORSKIE OKO

codziennie Rewja p. t. „Zabawki dla Warszawki"

QUI - PRO - QUO

Występy gościnne krakowskiego teatru - Rewji „Gong"

NOWOŚCI

występy gościnne praskiego teatru - rewji „Praha".

KINO

Filharmonja: „Kawalerowie nocy" i „Niebezpieczny wiek mężczyzny"

Palace: „Hotel Imperial" z Polą Negri.

Apollo: „Awantury Miłosne" z Harrym Liedtke.

Wodewil: „Tancerz za pieniądze" i „Czerwony Pirat" z Rod la Roque.

Splendid: „Precz z aktorkami" z Glorją Svanson i „Przygoda" pdł. Jacka Londona.

Casino: „Martwy Krzyk" i „Między nami nic nie było".

Quo Vadis: „Miljonowe panny" z Charles Rogersem.

Światowid: „Ulubienica załogi" z Clarą Bow.

Miejski: „Córka śniegów" z Anitą Stewart.

Hollywood: „List, który ją zdradził".

Capitol: „Potęga namiętności" z Bernardem Goetzke.

BILANS GOSPODARCZY DZIESIĘCIOLECIA POLSKI ODRODZONEJ.

W tych dniach wyszedł z druku II tom „Bilansu Gospodarczego dziesięciolecia Polski Odrodzonej", wydanego z inicjatywy i nakładem Powszechnej Wystawy Krajowej. Tom II specjalnie poświęcony jest komunikacji (6 artykułów) obrotowi (5 artykułów), finansom publicznym (4 artykuły), stosunkom społecznym (5 artykułów) i organizacjom zawodowym (3 artykuły).

Tem samem wielkie wydawnictwo gospodarcze o przeszło 1000 stron druku, obrazujące całokształt stosunków ekonomicznych w Polsce w pierwszem dziesięcioleciu odzyskanej niepodległości zostało zrealizowane.

Dzieło to jest do nabycia we wszystkich księgarniach oraz w Biurze Obsługi Publiczności na terenach A. P.W.K. Skład główny objęła księgarnia Gebethnera i Wolffa w Poznaniu.

Najszybszą, najwygodniejszą podróż na Powszechną Wystawę Krajową zapewni ci samolot.

SPECJALNE ZNIŻKI Z OKAZJI P. W. K.

W silnem ciele silny duch

Powyższy tytuł mieści w sobie głęboką prawdę, którą wreszcie zrozumiała cała ludzkość. Wyczyny sportowe i duchowe starożytnych, które jeszcze do niedawna były podziwiane przez cały świat i były otoczone legendą niedościgłych, klasycznych wzorów zaczęły powoli blednąć i straciły dużo w oczach współczesnych. Faryzeuszowska pruderja i wstydliwość ustąpiła miejsca zdrowym zasadom kultury ciała. Skrzywione kręgosłupy, pochylone karki, zaczęły się rozprostowywać, podnosić do góry. Zwiotczałe mięśnie nabrały elastycznej giętkości i twardości stali. Ludzie zamknięci w ciasnych, grubych murach biur, fabryk, warsztatów, przypomnieli sobie, że istnieje na świecie przestwór czystego powietrza, ciepłe promienie słońca i aromat świeżej zieleni. Tłumnie wylegli na boiska sportowe, areny zapaśnicze, pływalnie i rzeki. Otrząsnęli z siebie codzienną, nużącą pracę, zapomnieli o ustawicznych troskach, zdarli krępujące, konwencjonalne ubrania i w lekkim kostjumie, z pieśnią na ustach, z radością w sercu wybiegli nawprost zdrowiu, o którem dotychczas zapomnieli. Pierś głęboko odetchnęła ożywczym balsamem lasów i pól, troska zniknęła z zasępionych twarzy i beztroski śmiech rozległ się w około.



Taniec na świeżem powietrzu nabiera wiele czaru, którego nie zastąpi najrzęsiściej nawet oświetlone proscenjum. Na naszej fotografji widzimy parę tancerzy, którzy gratisowo pokazują jeden ze swych brawurowych tańców akrobatycznych na plaży w Rydze. (The New York Times).

Do słońca! do powietrza! do natury!

Skarłowaciała przez gnuśność ludzkość zaczyna się na nowo przeradzać w olbrzymów. Rekordy szybkości i siły padają jeden po drugim. Zda się niejednokrotnie że osiągnięto kres możliwości fizycznej. Jednak wkrótce złudzenie pryska i nowe zwycięstwo elektryzuje cały świat swą brawurą.

Myśl, która wyrwała się z codziennej szarości pracuje coraz intensywniej. Odświeżona i wypoczęta sięga skwapliwie po nowe zdobycze.

Wola hartuje się, staje się wytrwalszą, stanowczą, pewną.

Duch nasycony atomami zdrowia modeluje się, nabiera jasności i przezroczystości kryształu.

Wyrasta nowy człowiek, żelaznej konstrukcji prawego charakteru, pełen radości życia.

Kultura ciała — oto nowe hasło człowieka wiodące go „*per aspera ad astra*".

(g).

Dnia 19 lipca b. r. rozpoczęło się w Norymberdze trzydniowe święto gimnastyki i sportu. Jednym z numerów popisowych podczas otwarcia był pokaz gimnastyki na barjerkach. (Wide World).

„7 DNI" wychodzi co czwartek w Warszawie — Krakowie — Poznaniu — Lwowie i Wilnie
Prenumerata kwartalna: 6.50 złotych, półroczna 12.50 złotych wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2.
Tel. 525-85 i 72-85. Konto P. K. O. 19.447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sładowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy.
Redaktor naczelny przyjmuje interesantów w lokalu redakcji: w poniedziałki, środy i czwartki od godz. 10 do 12-ej, we wtorki i piątki od godz. 18 do 19-ej. (Oprócz dni świątecznych).

Redaktor naczelny: JAN PIOTROWSKI Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka Sp. z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 172-22 i 117-98.